Nr. 3. 20. Marca 1860.

KÓŁKO RODZINNE

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. $2^1/_2$ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. $4^1/_2$ zł., kwart. $2^1/_4$ zł., miesięczn. 75 ct. w. a.

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. $157^1/_4$.

ZŁOTA GÓRA.

Opowiadanie przy kominku.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Afekta.

We dworze było jakoś nadzwyczaj jasno. Służba snuła się ze światłem. Od wozowni zasłyszeliśmy głos pana Jędrzeja, który dawał karbowemu rozkazy, aby o cudzych koniach należycie pamiętał.

Zadziwiło to nas obu, że pan Jędrzej o tej porze wyszedł na dziedziniec, bo staruszek cierpiał na nogi, a po gwałtownej ulewie nie było wcale sucho na ziemi. A nawet jakoś tak ochoczo ruszał się starowina, jakby mu ze dwadzieścia lat ubyło. To też najpierwej skierowaliśmy ku niemu nasze kroki, aby się od niego o czemś dowiedzieć.

— Księże Ignacy, zawołał pan Jędrzej widząc nas ku sobie idących, jutro na intencyą dobrych nadziei naszych, odczytasz mszę świętą, za co winienem ci dukata w złocie holenderskiem.

I chciał już przejść mimo nas uradowany starowina, ale spostrzegłszy mnie, zatrzymał się i rzekł:

— I wasze panie Michale nie spisz jeszcze. Zapewne mój gość doroczny nie dał ci zasnąć. Ale dzięki niebu, wszystko zakończy się dobrze. Jutro usłyszycie wielką nowinę. Dwór w Boleszczycach obchodzi jutro wielką uroczystość.

— Czy pan Krzysztof?... wtrącił ksiądz Ignacy.

— Cyt, odparł pan Jędrzej w jakimś złotym humorze, i położył palec na ustach jakby chciał powiedzieć, że chce zachować jakąś tajemnicę — cyt, dzisiaj jeszcze cyt. Nie trzeba nigdy korzystać z chwil, w których okazuje się człowiek słabym. Niech Krzysztof spokojnie noc przespi, a co jutro rano przy zdrowych zmysłach zrobi, to będzie zapewne po woli bożej. A wtedy zanócisz nam księże Ignacy *Gaudeamus igitur*!...

— Może duch boży wstąpił w niego, przerwał proboszcz.

— A może szatan w nim się zaczaił, wtrącił pan Jędrzej, i dla zdrady przywdział szaty anioła światłości, o którym zeszłej niedzieli tak pięknie mówiłeś na ambonie.

Ksiądz Ignacy zamyślił się, i ja nie umiałem jakoś na ten dziwny koncept pana Jędrzeja odpowiedzieć. Ale snać pan Jędrzej nie przywiązywał do swoich słów tak wielkiej wagi, jakto nam się wydawać mogło, bo podawszy obie ręce do uścisku, rzekł z uśmiechem szczęścia na twarzy:

— Dobranoc wam, spieszę do gości, którzy z daleka przyjechali. Oby słońce dnia jutrzejszego długo, długo świeciło nad szczęśliwym moim domem, moją ukochaną rodziną!

W tych słowach pana Jędrzeja było tyle szczęścia, tyle błogiego ukojenia, że usłyszawszy je, mimowoli przyszło mi na myśl: Gdyby ten człowiek zawiódł się w swoich nadziejach, gdyby na rodzinę jego spadło jakie nieprzewidziane nieszczęście — onby żyć przestał.

I jakiś strach zdjął mnie nagle, złowieszcze przeczucie opanowało serce moje. Powoli oddalała się odemnie postać poczciwego staruszka, głos tylko jego, nakazujący przybyłym wszelką wygodę, zalatywał do naszych uszu.

— To zapewne pan Marcin przyjechał, ozwał się po niejakim czasie ksiądz Ignacy.

— Co za Marcin? zapytałem.

— Konkurent panny Anastazyi, odpowiedział mój towarzysz, daj Boże aby to wszystko na dobre wyszło.

Chociaż wszystko to co się dotychczas w tym dworze działo, a czego ja sam świadkiem byłem, na dobre się zanosiło, jednak we wszystkich nadziejach i wzajemnych życzeniach były tak dziwne klauzuły, że mimowoli napawały moje serce jakąś dziwną, niewytłumaczoną obawą.

— Cóż to za konkurent ten pan Marcin? zapytałem po krótkiej pauzie księdza Ignacego.

— Poczciwy, złoty chłopiec, odparł tenże, kabza tylko niezbyt pełna.

— A panna Anastazya? wtrąciłem.

— Kocha go i chce z nim podzielać los, jaki im padnie, odpowiedział ksiądz Ignacy.

Muszę wam tutaj nawiasem powiedzieć, że należę do ludzi dawnego obyczaju. Nie wierzę ja w dzisiejszy wasz sentyment, który najczęściej w głowie się rodzi, a potem do serca translokuje. Za moich czasów trzymano sentyment dobrze na uwięzi, pytano się ojca i matki, i często trzeba było noc całą przepłakać, a przecież wstało się rano z dobrą miną, jeźli rozkaz rodziców tego wymagał. To dodawało nam hartu i uczyło nas panować nad sobą. Otóż gdy powiedziano: „kocha go i chce los z nim dzielić", to znaczyło, że

rodzice sobie tego stadła życzą. Więc ozwałem się na to do księdza Ignacego:

— O ile panienkę poznałem, jestto słabiutkie i wypieszczone paniątko. Czy zechceż ona na mniejszym folwarku mieszkać i sama wziąć się do pracy?

— Pan Jędrzej ma wprawdzie znaczny majątek, odparł na to ksiądz Ignacy, ale zbytnia troskliwość o zgodę rodzinną nie dała mu rozpuścić swojej rodziny między ludzi. Nie dozwolił nawet żadnemu synowi aby się do czegoś aplikował, mówiąc, że gdy jeden z nich zostanie adwokatem, to zaraz drugich będzie procesował. I na urzędy także nie chciał zezwolić, bo jest tego zdania, że urzędy zacierają wspomnienia rodzinne i przetwarzają człowieka. Dlatego każde z jego dzieci może coś dostać z tego majątku, a gdzie jest ich pięcioro, włącznie z panną Klarą, tam i największy majątek musi się podrobić na małe folwareczki. Wiedzą o tem dobrze nasi modni panicze, i dlatego nie zbliżają się do panienki. I panna Anastazya wie o tem, i dlatego trzyma się pana Marcina.

— Ba, odpowiedziałem, i jakiż to afekt mości dobrodzieju?

— Jestto afekt i rozsądek razem panie Michale, dorzucił ksiądz Ignacy żartobliwym tonem. I młoda żonka waszeci może także ponad ładne wąsy zerknęła trochę na wyborne stadko Olszowy!

— Jako żywo, odparłem, na nic nie chciała się patrzeć, ani na stadko ani na zasoby spiżarni. Nawet zżymała się, że ją jakby klucznicę jaką po domu oprowadzam. Jużto moja Basia jest kobieta niepospolitego afektu.

Jeszcze to i owo chciałem księdzu Ignacemu powiedzieć, bo jakoś język mi się rozwiązał a o spaniu ani myśli nie miałem, gdy z drugiej strony dworu doszła nas jakaś dziwna kłótnia między synami pana Jędrzeja, Kajetanem i Sylwanem. Jakoś niemiło uderzyło to księdza Ignacego. Spiesznie podał mi rękę na dobranoc i wymknął się małą furtką z ogrodu. I ja chciałem już z tej nocnej wycieczki wrócić do mojej izdebki, a że do niej był przystęp od ogrodu, musiałem więc mimowoli przechodzić koło spierających się braci. —

Przysunąwszy się do muru chciałem niepostrzeżony wejść do mojej izdebki, gdy nagle obaczył mnie pan Kajetan i zaraz donośnym zawołał głosem:

— Hej panie Michale, pójdźże tutaj na arbitra, bo jakom żyw nie dam pardonu ułanowi. Dzban do czasu wodę nosi i moja cierpliwość już się wyczerpała!

Kajetan mówił to tak stanowczym głosem, że poznałem odrazu, że to coś nie przelewki. A że obowiązkiem jest każdego prawego człowieka godzić drugich, gdy się poważnią, toż przystąpiłem do nich w tem przekonaniu, że jeszcze do snu wezmę sobie jaki dobry uczynek pod poduszkę.

Kajetan stał z rękami w tył założonemi, jak człowiek pewny swojej siły, jeźli jej koniecznie użyć wypadnie. Sylwan wyglądał coś strasznie na kota, którego przy śmietanie złapano. Powciągał pazurki i przybrał tak obojętną minę, jakby żadnego na sercu nie miał przewinienia, i niczego się zato nie obawiał. W lewej ręce trzymał cytrę, a prawą podgartywał sobie czuprynę z taką swobodą, jakby się na bal wybierał.

— Cóż waszmościowie tak stoicie jak koguty przeciw sobie? rzekłem żartobliwie, bo żart w takim razie najprędzej rozbraja zapaśników.

— Jakto nie mamy stać przeciw sobie jak koguty, jeźli jeden bierze z przed dzióba drugiemu, co ten sobie wygrzebie, odpowiedział Kajetan, i groźnie ręce za siebie rzucił.

— A cóżeś to sobie po księżycu wygrzebał, panie Kajetanie, zapytałem tym samym tonem żartobliwym.

— Żart na bok panie Michale, rzekł Kajetan, bo we mnie wszystko kipi.

— Dla Boga, cóż się stało? zawołałem seryo, widząc że moje żartobliwe zapytanie rozdrażnia jednego z braci.

— Nie jestto wprawdzie ani czas, ani miejsce po temu, mówił Kajetan, aby sprawę naszą przed waszmością wytoczyć, zresztą i zażyłości nie ma jeszcze takiej między nami, ale jeźli człowiekowi coś dopiecze, to radby mówić, chociażby i nikt słuchać go nie chciał.

— I lepiej byłoby dla ciebie, gdyby pan Michał w rzeczy samej nie chciał cię słuchać, wtrącił z ironicznem lekceważeniem pan Sylwan.

Na co odpowiedziałem bez namysłu:

— Nie miłać wprawdzie rzecz słuchać spraw cudzych, ale gorsza, uciekać wtedy, gdy je już wytoczono. Dlatego chętnie słucham skarg waszych, a w Bogu nadzieja, że się na dobranoc uściskacie.

— Ja mu wszystko daruję, tylko niech raz przestanie mnie martwić, zawołał Kajetan.

— Cóż ciebie to martwi? zapytał Sylwan. Prędzej pan Michał mógłby —.

— Mógłby się zmartwić i pewnie się zmartwi jako człowiek poczciwy, wpadł Kajetan.

— Dziecko jesteś, zawołał Sylwan i uczynił bratu jakiś znak, którego dotychczas wytłumaczyć sobie nie umiem.

Ale Kajetan zanadto był rozdrażniony, aby na znaki brata uważać. Postąpiwszy kilka kroków naprzód, wziął mnie za pętlicę od czamary, przysunął do siebie i tak zaczął:

— Widziałeś waszmość w naszem kole rodzinnem tę bladą panienkę z małym, lekko zadartym noskiem. Jestto panna Klara, sierota bez ojca i matki, która razem z nami się chowała. Ileżto razy będąc małym, musiałem na raczkach chodzić i za konia jej służyć. I od tego czasu, chociaż często zrzuciłem ją przez głowę, wierzgając niby koń nogami... już od tego czasu miałem dla niej sentyment, który rósł wraz z naszemi latami.

Sylwan zagwizdał sobie z cicha jakąś piosenkę ułańską i powoli zaczął brzdąkać po cytrze. Nie przeszkadzało to wcale Kajetanowi w jego opowiadaniu. Przyciągnąwszy mnie tem silniej za pętlicę do siebie mówił dalej:

— Otóż rośliśmy razem, a z nami rósł nasz afekt wzajemny. A gdym już był tak wielki, że raczkować nie mogłem, i Klara nawet już niechętnie w konia się bawiła, wtedy graliśmy z sobą w ciuciubabkę, i zawsze tak się stało, żeśmy siebie wzajem złapali!

Niepoczciwy ułan rozśmiał się przy tych słowach brata, ale Kajetan już był w werwie i nie dał sobie przerwać.

— Od ciuciubabki przyszliśmy do cenzurowanego, mówił dalej Kajetan, i tu zawsze odgadywaliśmy siebie. Gdy mi kto powiedział, że mam ładne nogi, to zaraz wiedziałem że to Klarcia, a ona także na mnie wskazywała, gdy ktoś jej małe uszka pochwalił.

Kajetan zatrzymał się tutaj w improwizowanej swojej spowiedzi, a Sylwan przeszedł nieznacznie w melodyę, która coś zakrawała na: wlazł kotek na płotek.

— Im dalej w lata, mówił znowu Kajetan, tem większe zawiązywały się między nami afekta, tem poważniejsze bawiły nas gry. Od »cenzurowanego» postąpiliśmy do gry w »sympatyą». A tutaj jak najwyraźniej okazał się nasz afekt wzajemny, bo zawsze siadaliśmy obok siebie. Bywało nieraz, że rywala potrzeba było mocą z krzesła wyrugować, przy czem się trafiało, że jak długi padłem na ziemię i nogami się nakryłem, a chociaż to sprawiało powszechną wesołość i niejedna panna złośliwie zachichotała, przecież panna Klara tak mile na mnie zerknęła, że za jedno takie spojrzenie byłbym i koziołki wywracał.

Jakby jaki złośliwy duch zanucił znowu Sylwan pod nosem melodyą, na którą śpiewa się znajoma piosenka »Chcesz się żenić przyjacielu, to się żeń» — Ale Kajetan tak był zajęty grą w »sympatyę», że uchwyciwszy za drugą pętlicę mojej czamary, aż mi w kołnierzu coś pękło, jeszcze bliżej przyciągnął mnie do siebie i gromowym swoim głosem prawił mi do lewego ucha:

— Widoczna była sympatya między nami, tylko Sylwan i Amilkar nigdy temu wierzyć nie chcieli, i szydzili sobie ze mnie. Ale wkrótce wyszło wszystko jak oliwa na wierzch. Już nas nie bawiły ani exercycya końskie, ani »cenzurowane» a nawet sympatya wkrótce nam się sprzykrzyła. Człowiek już liznął coś nauki, pisał różne elaborata i próbował własnego konceptu. Otóż zaczęliśmy grać w tak zwanego »sekretarza» gdzie to człowiek konceptem nadrabiać musi. Chociaż ta gra z razu nie bardzo mi się kleiła, bo ksiądz Ignacy do dziś dnia utrzymuje, że moja głowa wcale nie jest do konceptu, jednak włożyłem się powoli do różnych przy takiej grze koniecznie potrzebnych dowcipów, a nawet często ubawiłem całe towarzystwo moim konceptem.

Korzystając z krótkiej pauzy, którą Kajetan uczynił w swojem opowiadaniu, zaproponowałem obom powaśnionym braciom, abyśmy sobie na ławeczce usiedli. Jakoż przegrodziwszy zapaśników swoją osobą, prosiłem Kajetana, aby rzecz dalej prowadził. Na niebie świecił księżyc w pełni, a noc majowa była tak ciepła i wonna, że aż żal było kłaść się do łóżka. Otóż uchwyciwszy napowrót pętlicę mojej czamary mówił dalej Kajetan:

— Bawiąc się tedy jednego razu w »sekretarza» dostałem kartkę z napisem: »w kim się kocha pan Kajetan?» Poznałem rękę panny Klary, bo nigdy do ę nie dodaje ogónka. Nie namyślając się więc długo, napisałem: »w swojej sąsiadce». A chociaż po drugiej stronie siedziała przy mnie panna Eulalia, przecież widziałem dobrze, jak po przeczytaniu tego trafnego konceptu panna Klara raka spiekła, i od tej chwili przez cały wieczór ani razu na mnie nie spojrzała. A przecież ciocia nasza, panna Pulcherya do dziś dnia utrzymuje, że kiedy kobieta prawdziwie kocha, to w towarzystwie nigdy nie popatrzy się na przedmiot afektu swego.

I bardzo rozsądnie powiedział Kajetan, czy raczej panna Pulcherya swoim dojrzałym rozsądkiem tak trafnie tę rzecz osądziła. Kobieta bowiem gdy czuje prawdziwy afekt, to zawsze spuszcza oczy w ziemię i jakoś jest zakłopotaną. Afekt odbiera jej w tej chwili i rozum i dowcip, a nawet w potocznych rzeczach staje się niezgrabną. A jeźli kobieta o afektach mówi, a przytem śmiało w oczy patrzy, a nawet coś figlarnego uczyni, to z daleka od niej mój bracie, bo tam serce zimne jak u syreny. Jestto tylko umiejętna gra słów i mimiki a nic więcej. Tam dusza brzydka i próżna. — Mógłbym tu wiele rzeczy w tej materyi opowiedzieć z własnego mego domowego pożycia: bo i ja w młodszym wieku inaczej na świat patrzyłem, i omal ze skóry nie wyskoczyłem, gdy poraz pierwszy spoczęły na mnie czarne, świdrujące oczka mojej Basi. Później inne powziąłem wyobrażenie o takich śmiałych, czarnych oczkach, ale o tem innym razem. I tak świat dzisiejszy nie chce korzystać z cudzych doświadczeń, tylko sam doświadcza. Dzisiaj uważanoby to za brak edukacyi, gdyby panna przy zbliżeniu się konkurenta oczy spuszczała. Przeciwnie, dzisiaj oczami zaczyna się i prowadzi cała przedślubna konwersacya, to też po ślubie jedno na drugie i patrzeć nie chce. Dawniej panna młoda dopiero wstając ze stopni ołtarza mogła śmiało swemu dozgonnemu towarzyszowi w oczy zaglądnąć — dzisiaj w pierwszych dniach znajomości tak się już na wylot znają kochankowie, że później i rozmawiać nie mają już o czem.

Otóż bardzo przypadło mi do serca to powiedzenie Kajetana, i nie wątpiłem, że afekt panny Klary dla niego był prawdziwym. Z większem więc zajęciem słuchałem dalej jego spowiedzi. Odkrząknąwszy mówił dalej Kajetan:

— Po tym szczęśliwym koncepcie moim byłem pewny, że panna Klara mnie kocha. A nawet przypominam sobie, tak mnie to przyjemnie zalterowało, że wróciwszy do mojej izdebki zamiast dziennego raportu, napisałem sześć wierszy do panny Klary, które nazajutrz rano podałem jej z prześlicznym bukietem.

*

Niepoczciwy Sylwan brzdąkał nieustannie jakieś wesołe melodyjki na cytrze i gwizdał sobie pod nosem.

— I jakąż dostałeś pan odpowiedź na te wiersze, zapytałem.

— Odpowiedzi żadnej nie dostałem, odparł Kajetan, a ciocia Pulcherya jest tego zdania, że panna w takim razie nigdy nie powinna odpowiadać, tylko swojem postępowaniem ma dać do poznania, co o podobnej ofercie sądzi. A nawet nie długo czekałem na taką odpowiedź pod figurą. Zaraz po obiedzie tego samego dnia siadła panna Klara do klawikortu, a gdy czule na nią spojrzałem, uśmiechnęła się i zaczęła spiewać piosenkę, w której to przychodzi:

Spojrzyj w oko, spojrzyj w lice,
Wnet wyczytasz tajemnicę . . . . .

a potem znowu:

Lecz gdy wejdziesz, a ja spłonę,
Masz już wszystko wyjawione . . . . .

Nie mogąc drugiej części wrotki na prędce sobie przypomnąć, zaprzestał Kajetan dalszych cytacyi piosenki, która tak ważną miała się stać dla niego, i spowiedź swoją prowadził dalej w ten sposób:

— Przypomniałem sobie przy tej piosence, że panna Klara w samej rzeczy kilka razy dzisiaj raka przy mnie spiekła, a kontentując się taką odpowiedzią o nic więcej jej nie pytałem, a nawet o owych sześciu wierszach nigdy nie rozmawialiśmy z sobą. Byłem pewny, że ma afekt do mnie, a ja przemyśliwałem odtąd, jakimby to sposobem przyjść do własnego domku i biedną sierotkę pod własny dach zaprowadzić.

Rozczuliły mnie te słowa poczciwego Kajetana, a od Sylwana coś mnie odepchnęło. Chcąc więc pierwszego utrzymać przy jego dobrych zamysłach, rzekłem:

— Choć panna Klara jest sierotą, to przecież posiada ona coś, coby nie jedna pani zazdrościć jej mogła.

— Ona właściwie nic nie posiada, wtrącił poczciwy Kajetan, a mój brat Amilkar utrzymuje zawsze, że panna Klara prócz dwóch sukien jedwabnych, pary zgrabnych trzewiczków i noska do góry zadartego nic więcej nie ma. —

— Nie zrozumiałeś mię mości Kajetanie, odpowiedziałem, ja mówiłem o tem, że panna Klara posiada to, czegoby nie jedna pani tego świata pragnęła, to jest: opiekę Boga, albowiem każdą sierotą sam Bóg się opiekuje.

Słowa moje nie padły jak groch na ścianę, bo Sylwan przestał brzdąkać na cytrze i jakoś mocno się zamyślił.

— Więc czysta jak łza twoja sprawa mości Kajetanie, rzekłem, a cóż tu ma pan Sylwan wchodzić?

— Właśnie przychodzi mi teraz o nim mówić, zawołał Kajetan i szarpnął mię za pętlicę, onto mości Michale staje mi w drodze do szczęścia.

— Ja, czyś oszalał? krzyknął Sylwan.

— Od dawna nadskakiwał on pannie Klarze, a nawet chciał ją uczyć głupich swoich spiewek. Od dawna spostrzegłem, że coś się święci, chodziłem za nim i za panną Klarą, i oto przydybałem go dzisiaj, jak tu niedaleko okna panny Klary wywodził swoje trele miłosne. A nawet słyszałem wyraźnie, jak spiewał!

. . . . . Ty aniele czarnych oczu
Z tobą żyłbym na uboczu,
Chciałbym by przez żywot cały
One na mnie wciąż patrzały . . . . .

A przecież każdy to wie, że panna Klara ma czarne oczy. A zresztą pocóż te trele wywodzić tu pod tem oknem?

Spojrzałem w to okno, na które w tej chwili palcem wskazał Kajetan, i zdawało mi się, że jakaś kobieca postać w bieli prędko od szyby uciekła.

— Któż mieszka w tem oknie? zapytałem, chcąc jako arbiter dokładnie o całej sprawie się wywiedzieć.

— W tem oknie mieszka panna Klara, odparł Kajetan.

— A gdzież fraucymer, zapytałem sądząc, że zazdrość Kajetana gruntuje się na jakiemś nieporozumieniu.

— Tu na tej stronie nie ma fraucymeru, odpowiedział Kajetan, a jeźli waszmość to w błąd wprowadziło, że w tem oknie widziałeś kilka kobiet, to ztąd pochodzi, że na dzisiaj zakwaterowano do panny Klary żonę waszmości.

Sylwan rzucił się niecierpliwie na ławce, rzecz jasna, że już żadnej wymówki być nie mogło. Nie zachodziło tu już żadne nieporozumienie, oczywista, że kochany braciszek chciał serduszko panny Klary różnemi spiewkami dla siebie skaptować.

— Powiedzże mi prawdę mości Sylwanie, przymówiłem do niego, czy na seryo masz afekt do panny Klary, czy tylko tak po waszemu, chcesz pannie Klarze główkę zawrócić, a potem do innej czmychnąć chorągwi?

To zapytanie moje wywarło na nim silne wrażenie. Odetchnął głęboko, jakby jaki kamień spadł mu z serca, odłożył cytrę na bok i poważnym ozwał się tonem:

— Znajomość nasza jest zbyt krótka, abym z tego, co czuję miał się zaraz wyspowiadać. Ale że mój brat do tego mnie wzywa, i sam już niejako afekt swój przed waszmością odsłonił, pójdę więc za jego śladem i dzisiaj zakończę tę sprawę, która mi wiele przynosi zmartwienia. Oto o pannie Klarze nieraz myślałem. Ma ona złote serce i wdzięki także niepoślednie. Byłbym może z nią szczęśliwszym niżeli z panną Eulalią, która ma i posag i parentelę. Ale chcę dać przykład całemu światu, że brat dla brata może ponieść ofiarę.

— Jakto, krzyknął Kajetan i naderwał mi pętlicę od czamary, jakto, ty chcesz wyrzec się panny Klary?

— Oto masz moje słowo i moją rękę, zawołał uroczystym głosem Sylwan.

— Uściskajcie się na znak wiecznej zgody, rzekłem i nie mogłem już ani słowa więcej powiedzieć, bo łzy cisnęły mi się do oczu.

Serce moje radowało się, gdy powaśnieni bracia rzucili się na siebie i tak się ściskali i całowali, że ledwo siebie nie podusili. A ja zdjąłem czapkę, spojrzałem w niebo i podziękowałem Bogu, żem stał się narzędziem zgody w rodzinie. I pomyślałem sobie:

— Mój Boże, gdybyto pan Jędrzej wiedział jak piękne uczucia wiążą jego rodzinę, spałby sobie spokojnie i nie trapił się złowrogą marą, że duch niezgody porozrywa kiedyś te święte ogniwa! Gdyby nawet sam ś. p. poseł Upitski z grobu powstał, nicby nie wskórał tutaj, a cóż dopiero zdziałać może ta mizerna kopia jego, jaką jest pan Krzysztof? Ofiara osobista dla zgody rodzinnej podnosi człowieka wysoko — ofiara taka w narodzie czyni go bohaterem. Kto w kole rodzinnem cnotą się wznosi, ten może w narodzie zostać wielkim.

Takto myślałem sobie idąc na spoczynek do mojej izdebki. A szedłem z takiem zadowoleniem, jakobym wypełnił jaki dobry uczynek. Widząc takie rzeczy i człowiek sam staje się lepszym. W tej chwili byłbym zdolny do każdej ofiary, którąby odemnie zażądano. Takto niegdyś w przeszłości naszej cnoty publiczne zagrzewały nas do wzajemnej emulacyi. — Nie ma nic obrzydliwszego nad egoizm dzisiejszy, który zamyka każdego w ciasnym kąciku osobistych jego zachceń.

I już byłem na progu mojej izdebki, gdy usłyszałem za sobą ciche stąpanie. Byłto pan Jędrzej. Zadziwiło mnie to niemało, że starowina jeszcze był na nogach. Miało się bowiem już koło północy.

— Jak widzę, waszmości wcale sen się nie czepia, rzekłem do niego, takto zawsze goście sprawiają gospodarzowi noc bezsenną.

— Spać dzisiaj nie mogę, kochany panie Michale, odparł cichym głosem pan Jędrzej, bo serce moje tak się dzisiaj raduje i w piersi mi skacze, że o spaniu ani myśleć. Byłem już tutaj dwa razy u waszmości, a nie znalazłszy cię w łóżku, pomyślałem sobie: jużto dzisiaj noc taka, aby w Boleszczycach nikt nie spał. Chciałem się z waszmością podzielić wielką moją radością.

-- Czy pan Krzysztof? —

— Toż go już znasz?

— Ksiądz Ignacy opowiedział mi wiele o nim —

— To znasz więcej, jakbym sam ci mógł opowiedzieć, poderwał pan Jędrzej, a teraz słuchaj: Ten pan Krzysztof, który lat czterdzieści był w mojej rodzinie upiorem niezgody, zmiękł dzisiaj i zaciąga się do mego kółka rodzinnego.

— Anieli w niebie cieszyć się będą, wtrąciłem nawiasem.

— A moja rodzina, chociaż o niczem jeszcze nie wie, mówił dalej pan Ignacy, już przeczuwa ten wielki zwrot ku zgodzie i jedności. Spostrzegłem nieraz u niej nasiona przyszłych niezgód. Dziś nagle wszystko się zmieniło. Przechodząc koło oficyn, widziałem na własne oczy, jak Kajetan i Sylwan serdecznie na dobranoc się całowali. Tego już u nich nie bywało. Widać, że z tobą panie Michale dobra gwiazda zeszła nad domem moim.

Chciałem właśnie panu Jędrzejowi opowiedzieć co między Kajetanem a Sylwanem zaszło, gdy tenże za połę mnie ułapił i drżącym od radości głosem szepnął mi do ucha:

— Pójdź za mną, a jeszcze okażę ci coś, co cię pewnie do łez poruszy. Jestem dzisiaj najszczęśliwszym z ludzi. Pan Marcin, który właśnie w nocy tu zjechał, stara się o rękę Anastazyi.

Rzekłszy to pociągnął mnie zwolna za sobą. Przeszliśmy przez szpaler malinowy i stanęliśmy blisko narożnego okna dworu. Okno było jasno oświecone i stało otworem. Różne firanki i firaneczki okazywały, że tutaj mieszka kobieta, która wiele już życia przepędziła nad robotkami kobiecemi. I w samej rzeczy nie omyliłem się. Usłyszałem bowiem głos panny Pulcheryi, z którym łączył się piękny i dziwaczny głosik panny Anastazyi.

Pan Ignacy położył palec na ustach, aby nie robić szelestu, a drugą ręką wskazał na okno. Staliśmy pod gęstym krzakiem jaźminu, który zakrywał nas cieniem swoim.

Panna Pulcherya miała okulary na nosie, a w ręku trzymała jakąś grubą książkę. Anastazya była widocznie czemś wzruszona, bo nieustannie przechadzała się po pokoju.

— Mówisz mi ciociu, mówiła panna Anastazya, że dobrze powinnam się nad tem zastanowić, co jutro panu Marcinowi odpowiedzieć. Mnie się zdaje, że moja odpowiedź już była gotowa od pierwszego naszego widzenia się.

— Jesteś exaltantką moja Naściu, prawiła ciocia, i nie wiesz czego kobiecie do życia potrzeba. Wprawdzie sam majątek i pozycya nie mogą nas uszczęśliwić. Gdyby tak było, byłabym dzisiaj panią generałową i miałabym na rozkazy złotą karetę. A przynajmniej pisałabym się Czwartakowską, bo musisz wiedzieć, że prezes sądu lubelskiego strasznie mi nadskakiwał. W ostatecznym razie mogłabym była pójść za Polikarpa Szpyrkę, bogacza co się zowie. Ale wszystko to nie wystarczało moim ideałom. Serce moje nie mogło żadnego z nich pokochać.

— A wszakże mówiła mi ciocia, wtrąciła panna Anastazya, że rządca ze Stroniłąk —

— To było tylko pierwsze i ostatnie marzenie moje, przerwała ciocia poprawiając okulary, marzenie, które każda kobieta raz tylko ma w życiu i je na zawsze w swojem sercu ukrywa.

Panna Anastazya zamyśliła się, snać jakaś chmurka przesunęła się przed jej wzrokiem, a kto na tej chmurce jechał, tego widzieć nie mogłem.

— Ale widzisz moje dziecko, mówiła dalej ciocia, moje pierwsze i ostatnie uczucie musiało pozostać marzeniem, bo pan Czubski nie miał odpowiedniej dla mnie pozycyi. Teraz wiesz, jaką drogę kobieta wybierać powinna.

Jakoś nie kwadrowała ta nauka do młodej główki panny Anastazyi, bo coś strasznie posmutniała, i zdawało się, że znowu jakaś złowieszcza chmurka z tajemniczem jakiemś wspomnieniem przemknęła przed jej wzrokiem. Wreszcie ocknęła się, wstrząsła ładną główką, jakby z niej wszystkie niedobre myśli jak plewy wysypać chciała, i rzekła pięknym, pewnym głosem:

— Ciocia zawsze tak mówi, że ja w końcu nie wiem, co dobre a co złe. Nie trzeba chodzić, bo się potknąć można, nie trzeba siedzieć bo to niezdrowo. Najlepiej będzie, jeźli pójdę za popędem serca a reszta — jakoś to będzie. Pana Karola wybiłam sobie z głowy, chociaż tak pięknym karyklem i angielskiemi folblutami tam zajechał. Jestto modny dzisiejszy paniczyk, który szuka stu tysięcy, a u mnie ich nie znajdzie.

I znowu zamyśliła się panna Anastazya. Nie wiem o czem myślała, czy o panu Marcinie, czy o angielskich folblutach pana Karola, czy wreszcie o stu tysiącach posagu?

— Dla tego kochana ciociu, mówiła dalej, powiedziałam sobie: Pan Karol twoim nie będzie, bo nie masz stu tysięcy posagu, a pan Marcin wcale się o posag nie pyta.

— A cobyś powiedziała sobie, gdybyś miała sto tysięcy? zapytała ciocia przecierając okulary.

Panna Anastazya przeszła się kilka razy w milczeniu. Poczem ozwała się do panny Pulcheryi:

— Już ja widzę, że to jest wola Boża abym została żoną pana Marcina. Moje serce przylgnęło do niego — czuję że mnie mocno kocha. Nie ma on wprawdzie wielkiego majątku, ani znakomitej pozycyi w świecie, ale gdy dostanie mój posag i siostrę spłaci, będziemy mieli własny domek i własny ogródek. A mnie się zdaje, że to wystarczy mi do szczęścia. Jest nas liczna rodzina, gdy się majątek podzieli, nie będziemy wcale bogaci. Więc nie trzeba latać wysoko, i o panu Karolu nie ma co marzyć, chociaż on cioci bardzo do gustu przypadł. —

I bylibyśmy jeszcze dłużej słuchali tej ciekawej rozmowy, gdyby nie faworyt panny Pulcheryi, ogromny, czubaty kogucisko, który siedział gdzieś na krzaku jaśminu. Zatrzepotał z takim łoskotem skrzydłami i tak przeraźliwie zapiał, że chyłkiem musieliśmy uciekać od okna, bo obie niewiasty równocześnie za okno wyjrzały.

— Widzisz jak dobre i szlachetne serce ma Anastazya, rzekł mi pan Jędrzej w odwrocie, ileż to szczęścia dla ojca rodziny, jeźli w niej takie przechowują się cnoty. A nawet żadne z nich nie wie, że jutro zapisuje nam Krzysztof cały swój majątek — Złotą górę!... Nie pragnę ja wprawdzie tego, ale od przybytku głowa nie boli.

Jeszcze to i owo pomówiwszy z sobą, uściskaliśmy się na dobranoc. Wszedłem do mojej samotnej izdebki. Tyle rzeczy cisnęło mi się do głowy, żem długo nie mógł usnąć. Do tego sąsiad mój, pan Krzysztof stał mi ciągle przed oczyma. Widziałem jego twarz żółkłą i pomarszczoną, jego uśmiech szyderczy. Zdawało mi się, że ten gość zagraża tej rodzinie jakiemś wielkiem nieszczęściem.

Pod takiem niedobrem wrażeniem usnąłem. We śnie widziałem konterfekt w czarnych ramach, ś. p. poseł Upitski wykrzywiał twarz do mnie, podnosił to jedno to drugie ramię jak to czyni człowiek garbaty, a gdym oczy otworzył, ujrzałem przed sobą pana Makarego, który w tej chwili także wydawał mi się podobnym do konterfektu.

Przetarłem oczy i podniosłem głowę. Był już dzień jasny, słońce padało przez okno na podłogę.

Pan Makary przyszedł powiedzieć mi dzień dobry. Było bowiem u nas dawniej we zwyczaju, że gospodarz in persona przychodził do gościa swego, pytając go, jak mu się spało, i czy kontent był z noclegu. Pan Jędrzej spał jeszcze, więc wyręczył go syn, opowiadając mi przytem o nowo przybyłych gościach.

I gdy tak z sobą w bliższą weszliśmy znajomość, zwierzył mi się pan Makary z sekretem, że napisał był kilka dzieł, które wkrótce drukiem ogłosi. Widać było po tem, co mi mówił, że to był człowiek uczony, i wiele musiał nad książkami przesiedzieć.

— O czemże traktuje dzieło pana? zapytałem.

— Jedno ma napis: O potrzebie zgody i jedności między nami mówił pan Makary. Przechodzę całą naszą historyę i wyświecam dowodnie że z braku zgody i jedności pochodzą wszystkie klęski nasze.

— To będzie dzieło wielkiej wagi, dorzuciłem.

— Druga książka będzie miała tytuł: O potrzebie ofiary i poświęcenia. I tutaj wykażę z dowodami, jak nasze niepowodzenia dziejowe rosły w miarę zatraty cnót publicznych. Każdą razą, kiedy prywata górę bierze, upadamy na potędze naszej, a wzmacniamy się, gdy dla dobra powszechnego wyrzekamy się osobistych naszych widoków i korzyści.

— Tę książkę złotemi literami wydrukować, zawołałem.

— A trzecia, mówił pan Makary, będzie traktować o wspólności w sprawach naszych. W tej książce wykażę, jak wiele da się zrobić zespolonemi siłami, jeźli wszyscy razem i zgodnie coś przedsiębiorą. A niczego się nie osiągnie, jeźli pojedyńczo każdy dla siebie robi, a co gorsza, jeźli o sobie tylko przy tem myśli.

Chciałem coś właśnie na pochwałę tej trzeciej książki powiedzieć, bo zawarta w niej prawda bardzo żywo mnie obchodziła, gdy w szarej komnacie usłyszałem ten sam śmiech szyderczy, który wczoraj tyle razy mnie przeraził.

I pan Makary jakoś się zasępił a nawet do wychodu się wybierał, gdy się nagle drzwi otworzyły, a do izdebki wszedł pan Jędrzej, o trzydzieści lat młodszy, i zaraz na progu zawołał do Makarego:

— Dzieci, uroczysty dzień dzisiaj w naszym domu, a ty panie Michale musisz zostać, abyś wnukom moim opowiadał, jakto niegdyś radowano się w staropolskiem kole rodzinnem, kiedy to koło spojone było zgodą i miłością wzajemną.

Poprzed oczy przemknęła mi się żółta szydercza twarz Sicińskiego.

C. d. n.

Z nowego poematu Wincentego Pola

„STRYJANKA.“

(Dokończenie.)

— Jeźli czułości serca Cześnik folgę dawał
Siadając ze skrzypkami na starem dworzysku —
To więcej jeszcze było tam w duszy ucisku
Gdy w modlitwie przed Bogiem za ojcami stawał.

— Matusi było Kasia — Ojca Dobrodzieja
Przypadała rocznica śmierci na Andrzeja:
Więc w wigilią zazwyczaj Świętej Katarzyny
Zjeżdżał Cześnik rokrocznie do ojców dziedziny.
I tu aniwersarzy szła najprzód koleja:
Nabożeństwa żałobne za ojców i dziadów,
Za duszę wiernych zmarłych, krewnych i sąsiadów —
I za te, co nie mają już znikąd ratunku . . .
A potem cały Adwent w postach i w frasunku
Gotował się na przyjście Zbawiciela Pana,
I nie tknął nawet skrzypek, do ust nie brał trunku,
Bo miała szlachta swoje *sacra i arcana;*
A kto domowych bogów ani krwi świętości
Nie poczci — i nie wzniesie do Zastępów Pana —
Znać, że nie jest krew ze krwi, ani też kość z kości...

— Pan Cześnik był karmazyn — choć nie w karmazynie,
Ale czuł się krwią ze krwi na ojców dziedzinie.
Kiedy zjechał na Adwent; nikogo nie witał,
Na ludzi ani spojrzał, o nic nie zapytał, —
Lecz prosto do kaplicy —
W kaplicy zamkowej
Leżał środkiem zasłany całun pogrzebowy,
Po rogach cztery świece — w znak aniwersarzu,
A ksiądz Gwardyan z braciszkiem klęczał przy ołtarzu
I prócz spiewu kapłanów, pieśni adwentowych
Nie słychać było słowa, w tych murach zamkowych
Przez cały Adwent Święty.
Rano Cześnik wstawał
Na roraty — nim dzwonek znać znad wieży dawał
Ludziom we wsi na jutrznię: już przy stoczku siada,—
I płoną światłem okna zamkowej kaplicy,
I kopią się przez śniegi ludzie z okolicy —
I do wieży Papiezkiej napływa gromada . . .
A nim jeszcze do świtu ostatni kur pieje
Skończone nabożeństwo — i zaledwo dnieje
Kiedy ludzie wracają z kaplicy do domu,
I ledwo że ktoś słowo rzekł po drodze komu;
Cześnik cały w modlitwie — tylko niby góra
Świeci biała przy stoczku nad głową wilczura.

— I ludzie powiadali „Pan coś patrzy srogo!“
Bo przez Adwent i słowa nie rzekł do nikogo.

— Duszą zamku był Andrzej — on to wszystko dzieli,
Czy co Pana tam smuci, czy co rozweseli,
A już duszą zaklętą, co się w zamku chowa,
Była w starej Bączali *»Murgrabiego sowa«*
Z gniazda małem pisklęciem niegdyś podebrana
I na ręku Andrzeja łaskawie chowana
Wiecznie tylko siedziała na jego ramieniu,
I po jego wejrzeniu i sowy wejrzeniu,
Co oczyma świeciła po mroku i w cieniu,
Już nie trudno odgadnąć było lada komu
Zastarzałe te dzieje i misterya domu.
— Jak dzień cały, tak Andrzej w murach się przesuwa,
A gdy mroki padają, na ramieniu sowa,
Czule *»Dziubą«* nazwana, wraz z Andrzejem czuwa
I przyświeca oczyma jak dusza czyszczowa . . .
Chłopcy w zamku chowani do dworskiej posługi
Więcej jeszcze się bali od Andrzeja sowy!
Bo gdy Andrzej zawoła przez kurytarz długi,
Dziuba chłopców sprowadza bijąc im na głowy —
I miał Andrzej na starość w *»Dziubie«* poplecznika. —
I szedł z Dziubą na służbę nawet do Cześnika. —

— Nad wieczorem raz tedy wszedł ze sową z cicha—
Sam nałożył w herbowym kominku ognisko,
A potem Cześnikowi skłonił bardzo nisko
I usunął się ku drzwiom, i stoi i wzdycha . . .
Dziuba wiernie siedziała na jego ramieniu,
I jak dusza zaklęta świeciła po cieniu.
Byłoto prawie jakoś po aniwersarzu —
Wiatr się żalił z duchami w długim kurytarzu . . .
Więc i Pan Cześnik wzdychał — i wzdychali oba:
— „Czego wzdychasz, Andrzeju? —
Żałoba... żałoba,
Czy modlitwa pomocna frasuję się w sobie —
— „Ej mów prawdę, mój stary! pono nie to tobie?“
— „To i nie to, mój Panie!“ — i znów westchnął —
„Panie!
I cóż z nami nareszcie na świecie się stanie?
Lata płyną jak woda — świat się w koło mieni —
Zapędzamy się w lata, a Pan się nie żeni —

Więc bez dziedzica będzie nasza ojcowizna?
W cóż się poczciwa ojców obróci puścizna?
W co się ludzie obrócą? w co nasz skarb Bączalski—?
To już wszystko ma zginąć? wszystko zabrać Skalski?"

— Długo dumali oba patrząc na ognisko . . .
Murgrabia westchnął znowu i pokłonił nisko —
„Jeźli Pan wprzódy skończysz — biedna moja głowa!
To ja Pana pochowam, lecz kto mnie pochowa?"
— „Ha — zostawmy to Bogu!"
Rzekł pan Cześnik z cicha:
— „Dobrze zostawiać, Panie, to co Boskie Bogu,
Lecz gdzie w próg nie przybywa, tam ubywa z progu..."
Rzekł Andrzej od niechcenia — i czeka i wzdycha,
— „Widzę, że mi coś taisz?"
Rzecze Cześnik wreszcie,
Więc Andrzej ośmielony skłonił się w kolana:
— „Kiedy na Matkę Bożą był tu odpust w mieście,
Po kościele wstąpiłem do księdza Gwardyana;
Wiele ludzi tam było — i słyszałem, Panie,
Że pan Andrzej Bączalski skończył na Słobodzie."

Tą się wieścią Pan Cześnik strapił niesłychanie
I zawołał po chwili — „Ha! znowu szczerb w rodzie!
I jeszcze jedna szczerba — a już po tej szczerbie
Jako ostatni legnie na stłuczonym herbie . . .
Cóż się stało? — Pan Andrzej był jeszcze człek młody!"
— „Śmierć, Panie, nie wybiera! ale mam dowody,
Jak był ze krwi i z rodu i z herbu Bączalski —
Tak gwoździem jego trumny jest znowu Pan Skalski:
Związał się ze Skalskimi, zerwał tutaj z nami,
I sam poszedł ze świata, a my znowu sami —
Bo uwikłał go Skalski i wróg i frant wielki,
Bo go wciągnął w facyendy i w grę i w handelki,
I nim jeszcze Pan Andrzej rzeczy pomiarkował,
Pan Skalski rewersiki gdzieś pooblatował,
I dalej z palestranty i jeździć i radzić,
Jakby Pana Andrzeja na Słobodzie zgładzić:
Bo, jak Panu wiadomo, Skalski szlachtę złupił
I trzy dwory szlacheckie już w Słobodzie kupił,
Czwarty Pana Andrzeja — a że to Bączalski,
Więc fortelu i zdrady użył w dubelt Skalski!
Pan do Pana Andrzeja, wiem, że serce stracił,
Odkąd z wrogami domu Pan Andrzej się zbracił,
Bo nie godna rzecz, Panie — kiedy krew w brew stawa,
Więc nie chciałeś znać o tem gdy Andrzej brał żonę,
Lecz dziś Andrzej przed Bogiem — więc to inna sprawa.
Dziś wdowę i sierotę trzeba wziąść w obronę —
Bo dobre są za zmarłych pobożne wspominki;
Lecz z największą pomocą dla duszy — uczynki.
Niech duchy koło swego węgła się nie żalą
W czyscowem utrapieniu — lecz niech Boga chwalą!
Dzisiaj, Panie, dopiero po aniwersarzu —
A jak straszno tam wyje w długim kurytarzu . . .
Znać — te dusze, co z zamkiem Boża wola sprzęgła,
Pokutują tu jeszcze u naszego węgła . . .
Wszak ten zamek stawili Turki i Tatary —
A któż grzechy policzy także naszej wiary:
Sami nasi panowie lubią żarty, śmiechy,
Dowcipki i baraszki — a to wszystko grzechy!
Bo nie na żarty żywot bierze się, mój Panie,
I nie ma pono żartu, kiedy człek tam stanie . . ."
Tu się nagle odezwał wrzask zamkowej sowy
I z tym wrzaskiem latała po izbie stołowej,
Jakby słowa Andrzeja i rady odgadła;
I znów świecąc oczyma na kominku siadła,
Więc się zerwał Pan Cześnik i myślą się wodził
I ledwo nie godzinę wzdłuż komnaty chodził,
A Murgrabia dokładał na kominku z cicha
I usunął się ku drzwiom, i czeka i wzdycha . . .
Pierwszy Cześnik nareszcie przerwał to milczenie:
— „Dziękuję Ci, Andrzeju! i kto ma sumienie
Temu pono nie trudno w piersi się uderzyć!
Ha! zmierzyłem, co w końcu trzeba było zmierzyć —
Jedziemy na Słobodę — czas się pomiarkować,
I będziemy chłopczynę za swojego chować:
To może się i sprawa z Skalskimi rozmroczy,
A nam ręka życzliwa przymknie kiedyś oczy!"

— I otworzył kantorek — tam gdzie pasy lite
Leżały pod kryjówką na wałeczkach zwite,
I rzecze do Andrzeja: — „To puścizna święta
Po ojcu nieboszczyku — weźże ten pas sobie
Za tę życzliwość Twoją i radę na dobie!
To przyjaciel prawdziwy, co wcześnie pamięta
I o zbawieniu duszy i ładzie żywota:
Więc się godzi pas lity — kiedy rada złota."

Stare grody naszego kraju.

Pragniemy jak najgoręciej wzbudzić i rozpowszechnić zamiłowanie dla rzeczy ojczystych. Aby się jednak do nich przywiązać, potrzeba przedewszystkiem je poznać i bliżej z niemi się zaznajomić. Przechodzimy mimo nich, prócz muru i gruzów nic tam nie widzimy. Dopiero przeszłość, która niegdyś w tych murach gościła, zajmuje nas i innem na te pamiątki każe patrzeć okiem. Mianowicie stare miasta nasze, zamki i klasztory wplatają się osobną nicią w nasze dzieje ojczyste, a nieraz nawet przeważne stanowią pasma. Grody nasze i miasta byłyto częstokroć domy znakomitych naszych mężów, w których rękach ważyły się nieraz losy ojczyzny.

W pismie naszem będziemy czasem zwracać uwagę na te pozostałe świadki przeszłości naszej, i o ile siły nam wystarczą, opowiemy pokrótce czem one były w naszych dziejach. Aby jednak usiłowania nasze zamierzonemu odpowiedziały celowi, czynimy niniejszem odezwę do wszystkich miłośników naszych pamiątek ojczystych, aby nam przyszli w pomoc braterską.

Mianowicie liczymy na światłych mieszkańców sławnych grodów naszych, i upraszamy o nadsyłanie w odpisach dokumentów miejscowych. —

I.

Brzeżany.

— — — zabaw nie pamięta
Snem mu się zdają te świetne Brzeżany.
J. Słowackiego, *Jan Bielecki.*

Brzeżany były w wieku XVI i XVII gniazdem bohaterów: Sieniawskich.

Świetne było to miasto walecznością i ofiarami patryotycznemi, twierdzą, przepysznym zamkiem i wspaniałem a butnem życiem swoich panów.

Cnoty ich publiczne i duma prywatna natchnęły niejedno pióro do pochwalnych opowiadań, a dziś do poetycznych wspomnień.

Juliusz Słowacki (w Janie Bieleckim) i Zygmunt Kaczkowski (w Sodalisie Maryanie) ustroili opowiadanie i opisy kronikarzy lub heraldyków barwami swojej wyobraźni. I oto staje przed nami obraz magnackiego dworu, żyjącego z przepychem królewskim a dzierżącego potęgę i chwałę prawie królewską.

Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze,
Co ma król polski i szlachcic mieć może.

Niedowierzając poetom, pytamy się dawnych ksiąg i przekonywamy się że nie baśnie piszą poeci, owszem rozwiązują często zagadkę wieków.

Oto się ciemne księgarnie otwarły,
Tu źródła bogactw w zapylonej ramie.
Czytam... Jak dziko ten język umarły,
Pod piórem w kształty nieżywe się łamie.
Język i gorszy przesąd zakonnika,
Jak rdzawa klamra myśl księgi zamyka,
Czy tu wygrzebiesz dzieła Gedyminów?
Czy głos Zygmuntów, jak echo daleki?
Są to jak sfinksy, te ubiegłe wieki,
Mówią zagadką dziś ciemną dla synów.

Podobnąż zagadką, jeżeli mamy odnosić to wielkie zagadnienie do pomniejszych rzeczy, jest znaczenie Brzeżan w dziejach naszych dopiero od czasu, gdy Sieniawskich imie zajaśniało.

Miały inne miasta Rusi Czerwonej domy szlacheckie, bohaterskie swojej nazwy, miały je i wsie. Miał Buczacz swoich Buczackich, Jazłowiec Jazłowieckich, Czortków Czartkowskich, Żółkiew Żółkiewskich, Zborów Zborowskich, by nie wyliczać innych.

Dziedziczyły one nazwy swoje po założycielach, lub rodziny odzierżały nazwy od siedlisk swoich. Inne zawdzięczają okolicznościom dziejowym swoje nazwy.

Ale miejsca o których pierwotnem osiedleniu wiadomości pewnej niemamy, trapią zawsze nasz umysł ciekawy na zagadki i uwodzą do badania najdalszych początków, a gdzie źródeł niestarczy, tam się czasem nadrabia wyobraźnią.

Tak zapytujemy się: czemu niemasz w poczcie szlachty Brzeżańskich imienia, tylko Sieniawscy są panami Brzeżan?

Sieniawscy są jedną z trzech dzielnic rodziny Granowskich, których inne dwie były: Pileccy i Spławscy, wszyscy herbu Leliwa. Pierwszy Rafał z Granowa pojawszy za żonę jedyną dziedziczkę na Sieniawie, od tych dóbr nazwał się Sieniawskim, chociaż był Brzeżan dziedzicem.

Tak po części rozwiązana zagadka. Miejsce to samo niemiało zresztą przedtem znaczenia i nabyło go dopiero ze wzrostem tej wielkiej rodziny, która uczyniła je rezydencyą swoją i jednym ze strategicznych punktów w ówczesnym sposobie bronienia kraju przeciw ustawicznym napadom Tatarów, Turków i Wołoszy. Brzeżany były fortecą, lecz dopiero od czasu Sieniawskich.

Nie wystarczał fantastycznym opisywaczom blask padający na Brzeżany z imienia Sieniawskich, i musiało im dla tego położenie miejsca nad dużym stawem, który dawniej nierównie był rozleglejszy niż dziś, zastąpić brak innych dowodów. Chęć odnoszenia pochodzenia znakomitych miejsc do najodleglejszej starożytności uwiodła niektórych aż do wniosku, że Brzeżany są herodotową A m a d o k ą. Równie sangwiniczni w swoich przypuszczeniach o przeszłości jak inni w nadziejach, windykują temu miastu znakomitszą i dawniejszą starożytność niż ją dzieje poświadczyć zdołały. Wzmianka dawnych pisarzy, że staw brzeżański stanowił razem z okolicznemi stawami niezbyt dawno jeszcze duże jezioro, wydała się im dostateczną do wniosku, że tu przemieszkiwał bitny szczep sarmacki Amadoków. Od nich nosiła nazwę wielka część europejskiej Sarmacyi, stolica ich leżała nad wielkiem jeziorem, a waleczni Amadokowie bywali postrachem sąsiadów.

Gdy jednak ani Herodot, ani Ptolomeusz, ani Hellanik (na którego się powołuje Szczepan Byzantyński) niepowstaną z grobu by poświadczyć: czy Brzeżany są ich Amadoką, a staw Brzeżański jeziorem amadockiem, więc musimy się zrzec wszelkich w tej mierze uroszczeń. Niepewną była rozległość kraju Amadoków sięgającego, według opisów, od Chersonu aż w głębokie Podole (a może i Ruś Czerwoną); niepewniejsze położenie i rozległość m a t k i B o h u, (jak Herodot nazwał amadockie jezioro, z kąd Hypanis, Boh, brał wody swoje); a najmniej pewne położenie stolicy Amadoków. To pewna że ta kraina nie jest ojczyzną białych koni jak Amadoka Herodota.

Niemamy nawet odwagi przystać na twierdzenie tychże samych opisywaczy, że Brzeżany są owem miejscem oblanem wodą w około, do którego był przystęp przez most w lesie, a które B a ł y - B e j zniszczył w r. 1498 (według opisu tureckiego kronikarza Chodży - Saadeddina). Bisurmański kronikarz nie wymienia nazwy tego miejsca, tylko opowiada że się walecznie broniło. Ale podobnie jak horda nieładem wichrzyła po tej nieszczęśliwej krainie, tak i Chodża niezbyt porządnie chodzi po niej piórem. Trudno więc oznaczyć, które z miejsc między Dniestrem a Wisłą było tą bezimienną a dzielnie bronioną ofiarą pogańskiej dziczy.

To znowu pewna, że za Sieniawskich stawiły Brzeżany nieraz walecznie czoło pustoszycielom Rusi. Już bowiem pierwszy z Sieniawskich Rafał, był „mężem w sprawach rycerskich sławnym". Synów zaś jego „męże wielce sławne", Mikołaja, Aleksandra i Prokopa sławią chórem Kromer, Paprocki, Orzechowski. Z tych przed wszystkimi uświetnił Brzeżany Mikołaj, wojewoda Ruski, H. W. K., star. hal. i kołom. „Jemu i braci jego, województwo Ruskie całość swoją powinno". Mężnie on bronił „tej ojczyzny" (tak mówi o Rusi Niesiecki) „to pod Obertynem, kędy na ten czas rotmistrzem stawał, to pod Trembowlą, Werestatyńcem, Podhajcami, Międzyborzem, to po wielu inszych miejscach".

Wymownie opisuje wielu czyny „tego czesnego i sławnego męża"; dobitnie i zwięźle wystawia go nagrobek w Brzeżanach niegdyś widzialny (w dziedzicznej Sieniawskich kaplicy): „Pod jego strażą była Ruś szczęśliwa i od wszelkich wrogów zewsząd bezpieczna"*), lecz najwymowniej ukazuje zasługi jego „i dobrodziejstwa przeciwko królowi i przeciwko królestwu jego" Papieżnik w szóstym dyalogu Orzechowskiego. Kładzie on w usta Mikołajowi Sieniawskiemu samemu wyliczanie tych „zasług i dobrodziejstw":

„Zstarzałem się i osiwiałem gardłując we dnie i w nocy, zimie i lecie przeciwko nieprzyjacielom twoim (króla), z Aleksandrem i z Prokopem, z bracią rodną swą, i z Hieronimem, z Mikołajem, z Rafałem i z Janem czterema synmi swymi, którem już zaprawił krwią nieprzyjaciół twych ku służbom twym, przeciwko wszytkim mordam tatarskim i wołoskim; dwanaście kroć z rycerstwem twem bitwym wygrał, dwiem tylko z nich stracił"; (jako fortuna zawsze niestatek, mówi Niesiecki); „na wołoską hołdowną ziemię twoję, imieniem twojem, hołdownego wojewodę Alexandra byłem wsadził; więzieniam dla ciebie cierpiał, ranym z harców odnaszał, więźniem wołoskie i tatarskie do ciebie, zwycięzca sławny twój, z pola odsyłał; swym własnym chlebem, nie mając drugdy pomocy od ciebie żadnej, strzegłem wszytkiej krainy ruskiej; osadziłem ja tobie królu podolskie puste krainy, napełniłem ludźmi, oraczmi, miasteczki, wsiami ruskie pustynie; a krótko mówiąc pod mojem hetmaństwem nie zginęłoć w Rusi miasto żadne, nie zamek, nie powiat żadny; a jeśliże stała się kiedy za mnie wtarczka jaka w ziemię twą za hetmaństwa mego, toć przyczytano być musi nieszczęściu onemu, które po ludziach a nie po drzewie chodzi".

Temuto Mikołajowi Sieniawskiemu zawdzięczają Brzeżany, że Zygmunt I pozwolił przywilejem z r. 1530 uczynić je miastem, i przeniósł na prawo magdeburskie z polskiego i ruskiego, wyznaczając targ tygodniowy w piątek, jarmarki zaś na Wniebowstąpienie Pańskie i ś. Piotra w okowach, nadając oraz prawa i wolności wsiom okolicznym: Łapczyn (Łapszyn), Leszynki (Leśniki), Łaczow (Baczow?).

*) Hoc vigilante Russia felix hostibus a cunctis undique tuta fuit. (Niesiecki).

Zmarł w Lublinie r. 1569 podczas sejmu a chociaż Niesiecki się martwi „pożal się Boże że oddaliwszy się od matki kościoła prawowiernego z nią się nie pojednał" przecież gdy ciało jego z Lublina do Brzeżan prowadzono, Zygmunt August „ze wszytkim przytomnym senatem (a zatem i duchownymi) pieszo aż za miasto z wielkim żalem swoim prowadząc uczcił".

Za Mikołajem w ślady poszedł szereg potomków aż do wygaśnięcia rodziny.

Najstarszy syn Hieronim odziedziczył po ojcu godności, tytuły i Brzeżany. Był on zarówno wojewodą Ruskim i hetmanem W. kor. obrońcą Rusi w napadach Tatarów i Wołoszy. Moskiewska kampania za Stefana Batorego dzielność jego wsławiła. Chwali go Niesiecki „że dom swój na tor prawdziwej wiary katolickiej wykierował".

Tegoż syn Adam Hieronim, podczaszy koronny, starosta Jaworowski, po którym, młodym jeszcze, Paprocki najlepszych spodziewał się owoców, „krwi nieprzyjacielskiej niemniej i swojej za całość ojczyzny rozlewca". Zamojskiego i Jana Karola Chodkiewicza współczesny i współbohater, odznaczał się nad wszystkich skromnością niepożądającą wyszczególnień w narodzie, póki na takową nie zasłużył i żadnego honoru albo senatorskiego krzesła, „lubo się do niego cisnęły i królewska łaska za heroiczne dzieła z niemi go potykała, przyjąć za młodu nie chciał, chcąc pokazać, że honor powinien być płacą zasług nie zachęceniem do nich. Zeszedł z tego placu śmierci na życie nieśmiertelne r. 1616".

Mikołaj syn jego najstarszy, krajczy a potem podczaszy koronny, wsławiony pod Chocimem, był głównym pysznego zamku w Brzeżanach ozdobicielem, a chociaż to co poeta pisze ściąga się do dziada jego Hieronima, który żył za Batorego:

> Oto są złote krakowskie komnaty,
> Podobne kształtem, złoconemi ściany
> Strojne w atłasy i drogie bławaty —

toć właściwie temu Sieniawskiemu przypisują głównie że „Brzeżany ufortyfikował i ozdobił, jako grób przezacnych przodków swoich, kościół farny tamże wielkim kosztem z ciosanego kamienia wystawił," drugi w Buszczu. „Zszedł bez potomstwa roku 1636". Na pogrzebie miał mowę Jakób Sobieski, kaszt. Krakowski.

Po tym odziedziczył Brzeżany Hieronim Adam Sieniawski, syn brata Prokopa, hrabia na Szkłowie i Myszy (któreto dobra wielkie na Litwie weszły do rodziny przez matkę jego, córkę Alexandra Chodkiewicza) pisarz pol. kor. i starosta Lwowski. „W Zbaraskim oblężeniu heroicznie stawał... wszak ten był głos pospolity i zdanie Jeremiego Wiszniowieckiego, księcia generała ziem Ruskich, że ten Hieronim wiszące na włosku tylko zdrowie ojczyzny w tym Zbarażu darował, ale go sam stracił"; w skutek trudów bowiem i zabiegów tak zapadł, że go ledwo żywego ztamtąd wyniesiono, a w pół roku potem „zniknął" w roku 1650; pochowany w Brzeżanach.

Przedostatni a najświetniejszy może w poczcie bohaterów syn jego Mikołaj Hieronim doprowadził także i Brzeżany do szczytu świetności. Wojewoda Wołyński, hetman polny koronny, starosta Lwowski i Rohatyński „stargał zdrowie w bohaterskich posługach co król widząc gdy komizeracyą nad nim czynił: „Mniejsza oto, jutro“, prawi, „niech umieram, bylem dziś miał buławę z łaski króla“. Jakoż wziąwszy, wkrótce ją osierocił w Lubowli na Spiżu, powracając z wyprawy wiedeńskiej w roku 1684“.

Pod Podhajcami, Brzeżanami, Szarańczugą, Jezupolem i Czernielicą przeciw Tatarom i Kozakom szczęśliwie i z tryumfem potykał się. Pamięta jego odwagę Niemirów, Komarno, Żurawno. Czterdzieści tysięcy na dobro pospolite wysypane zapłacić kazała ojczyzna sukcesorowi ze skarbu koronnego. „Sieniawę w miasto ufundował“. Brzeżany ufortyfikował i ozdobił, konwent i kościoł OO. Bernardynów w r. 1682 wystawił pod tytułem św. Mikołaja.

O nim pisze Chmielowski w Nowych Atenach (podług manuskryptu znachodzącego się w cerkwi Brzeżańskiej), że w roku 1673, gdy hospodar wołoski Petryczajko „przedał się z wojskiem swojem wołoskiem na naszą stronę polską“ i prosił Jana Sobieskiego, marszałka i hetm. wiel. kor. potem króla, aby żonę jego, dzieci i skarby z Wołoszczyzny windykował. Do tego komenderował Hetman z partyą wojska Hieronima Mikołaja Sieniawskiego, a w ów czas Chorążego wiel. kor. „który do Wołoch odważnem wpadłszy sercem żonę hospodara Imści. familie i skarby wyprowadził szczęśliwie ztamtąd od Adżi Giereja Sołtana w liczbie 80.000 Tatarów aż pod Śniatyn z klęską ich goniony“.

„W rekompens tak walecznego serca otrzymał w darze od hospodarowej Imści za rękę swoją waleczną, rękę św. Jana Chrzciciela z trumienką srebrną mianą z dawna (antiquitus) w skarbcu hospodarów wołoskich, a tam z Carogrodu przeniesioną ze skarbcu kościoła św. Zofii, gdzie ją cesarze Greccy ku weneracyi złożyli, a Tureccy cesarze hospodarowi wołoskiemu Jeremiaszowi Mohyle darowali“. (Ta relikwja znajduje się do dziś w cerkwi Brzeżańskiej).

O tymże samym Sieniawskim pisze znowu Imść pan Mikołaj na Dyakowicach Dyakowski, podstoli Latyczowski, w Summaryuszu okazyi wiedeńskiej (zbiór hr. Broel-Platera), opisując powitanie wojska polskiego pod Wiedniem przez cesarza, jak się znalazł i hardość odpłacił hardością. Gdy cesarz z królem się powitali, poczęli się zjeżdżać pułkownicy nasi; „a który przyjechał, pokłonił się cesarzowi, to on tylko kiwnął głową, a kapelusza nie zdjął. Wtem hetman polny Mikołaj Sieniawski, jedzie do powitania cesarza i pyta powracających:

— A jak tam cesarz przyjmuje naszych senatorów i pułkowników? Odpowiadają mu, że wszystkich jednakowo, bo kapelusza nie zdejmuje, tylko głową kiwa. Hetman mówi:

— Jadę i ja tam, może i mnie tak zrobi, ale ja mam sztukę na hardego.

Przyjechawszy tedy, zsiada i prościuteńko idzie do króla i cesarza w czapce, a przyszedłszy przed nich, zdjął czapkę i oddawszy honor królowi, wdział czapkę. Dopiero obróciwszy się ku cesarzowi samemu, tylko się buławą skłonił nie zdejmując z głowy czapki i podparłszy się buławą, tak przy nich stał. Gdy się zaś ten hetman kłaniał królowi, rzekł do niego król:

— Mości panie, a cesarz? dając znak aby się pierwej pokłonił cesarzowi; na to hetman odpowiada:

— Wiem, Mości królu, że on cesarz cesarstwa, a W. K. Mość jest pan i król mój!

Pogadawszy tedy król z cesarzem, wsiedli obadwa na konie, i począł cesarz wojsko wszystko w szyku stojące lustrować począwszy od królewskiego pułku i jako zwyczaj jest, że przed monarchami zniżają chorągwie, tak i pułku królewskiego i hetmana wiel. kor. zniżali. Gdy zaś przyjechał cesarz na pułk hetmana polnego, żadnej chorągwi nie zniżono, co uważając cesarz pyta się zaraz:

— Co to za racya że górniejsze pułki zniżyły chorągwie przedemną, a w tych nie zniżają?

Ktoś mu odpowiedział: — że ten hetman co jego pułki, ma urazę do W. C. Mości. Pyta się cesarz: — o co? Odpowiedzieli mu: — że kiedy W. C. Mość witał, nie uchyliłeś kapelusza. Odpowiedział cesarz: — czemużeście mnie nie przestrzegli?

Już tedy po uczynieniu sobie tej relacyi, gdy przyjechał na którą chorągiew, to ledwo nie tkał kapeluszem na nią, nawet wołoskim i tatarskim chorągwiom też czynił weneracyą“.

Dalej pisze o Sieniawskim że „przyjechawszy do Lubowli skończył i kampanią i życie, bo dnia 17. Września umarł.“

Za niego stanęły Brzeżany u szczytu swojej świetności, a konstytucya z r. 1676 zlecając hetmanowi opiekę pogranicznych fortec tak się o tem mieście wyraża: „mając w osobliwszej pamięci fortecę Brzeżany własnym kosztem ur. Chorążego wielk. koron. wystawioną i załogą z szkatuły własnej konserwowaną, która dotąd od zguby ostatniej kraje Pokuckie zatrzymała“.

Otrzymały też Brzeżany w r. 1677 przywilej ustanawiający nowe jarmarki: na św. Ducha, św. Eliasza, św. Bazylego i na Niedzielę środopostną według starego kalendarza.

Ostatni z Sieniawskich, syn poprzedniego, Adam Hieronim kasztelan Krakowski, hetman wielk. kor., starosta Lwowski i Rohatyński, utrzymał jeszcze Brzeżany w całej okazałości. Rozterki domowe utrudniały jego stanowisko, pozostał on w rodowitej Sieniawskich wierności dla króla (Augusta II), nienarażając sobie wielce partyi przeciwnej. Podejmował Piotra W. w zamku, o którymto przyjęciu i opisy w księgach, i wspomnienie między ludem do dziś dnia pozostały. Z Adamem Hieronimem zgasło na zawsze Sieniawskich imię.

Córka jego Zofia, w pierwszem małżeństwie za Denhoffem, wniosła przez drugie małżeństwo z Augu-

stem Czartoryskim w dom mężowski ogromne dobra. Brzeżany przeszły za jej córką Elżbietą w dom Lubomirskich, a z tego rodu w rodzinę Potockich, przez zaślubienie córki Stanisława Lubomirskiego, marszałka wielk. koron. ze sławnym Stanisławem Potockim.

Dziś pozostała tylko pamięć okazałości, przepychu i bogactw jakiemi słynął zamek Brzeżański. Lud opowiada sobie o tem wszystkiem, łączy do tego legendy pieśnią poetów utrwalone, i wskazuje miejsca gdzie były pokoje złote, wiedeńskie, pokój paniczów, zbrojownia, turma dla więźniów, gdzie było okno zkąd Piotr W. trzem kozakom kazał skoczyć w rzekę i t. p.

Wszystko się składało by Brzeżany uczynić uroczą rezydencyą: przyroda, sztuka, dzieje i obfitość dóbr ziemskich.

Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy,
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona,
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
Dalej kaplica blachą powleczona.

W istocie cudna okolica. Przyroda Rusi Czerwonej wysłała tu ku wschodowi swoje ostatnie poczty sowite: rozsiała mnóstwo łąk i pagórków okrytych lasami, porozrzucała pomiędzy niemi stawy w dolinach falistej ziemi, jakoby pozostałości wielkiego morza, zapomniane w szybkiej wód ucieczce. Te stawy połączone taśmami rzeczek, stanowią sieć zarzuconą na cały obszar między źródłami Bugu i Styru a Dniestrem od północy ku południowi, od Gródka i Jaworowa zaś na zachodzie aż po Zbrucz ku wschodowi. Jakby kwiatami przetykana koło każdego węzła swych ruchomych taśm mieści ta sieć nad każdym stawem wioskę lub miasteczko pośród naturalnego ogrodu.

Takim węzłem krzyształowym jest staw brzeżański. Przewiązuje on okazale taśmę Złotej Lipy. Złota Lipa objęła zamek we dwa ramiona. Do ostatnich najpiękniejszych pocztów Rusi Czerwonej liczymy Brzeżany, mają one pod swoim bokiem Raj ku zachodowi, a na wschód unosi nas gościniec na Kozowę w chlebodajne niwy Podola. Ku temu gościńcowi odsłaniają Brzeżany, jakoby drocząc się z obojętnym na ich wdzięki wędrowcem, najpiękniejszą stronę swego położenia. Amfiteatralnie rozsypane miasto spuszcza się zwolna ku stawowi i odbija w nim swoją postać zalotnie, ukoronowaną kościołem i klasztorem OO. Bernardynów, a staw oddaje mu w zamian ostatnie purpurowe blaski zachodu.

Najniżej położony ponury świadek przeszłości, zamek, wygląda dzisiaj jak magnat-bohater w łachmanach. Nie ruina to, o nie! zamek jest cały zamieszkały, ale gdzież są te

Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach srebrem tkane adamaszki,
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe,
Z srebrnych sadzawek, niby dla igraszki
Wytryska woda, tchnąca wonią róży —

Gdzie to wszystko? Gdzie zakonnicy co nad bramą mieszkali by strzedz kaplicy i grobów kutych w marmurze na wzór królewskich w Krakowie? Spruchniałe drzwi prowadzą cię do wnętrza, a z odartych ołtarzy i spełzłych zaprószonych pyłem magazynowym fresków na sufitach i ścianach wieje smutek zapomnienia. W posadzce marmurowej wydeptanej i nadpsutej długoletniem goszczeniem tu — nie dusz pobożnych — ale żydów arendarzy, którym niegdyś za skład służyła, ukazuje ci otwór wnętrze grobów, z których trupie kości porozrzucane grożą potomkom z pośród gruzów. Odwróć się od tego przykrego widoku, a pominąwszy walającą się tu ołtarzową płytę z florentyńskiej mozajki, zwróć się na prawo gdzie ujrzysz całą nawę odzianą od stóp do szczytu misternie rzeźbionym marmurem. Tu spoczywają kolosalne bohaterów postacie. Rzekłbyś że śpią tknięci klątwą czarodziejską, tylko uszkodzenia czasu oświecają cię, że to marmur nie ciało. U grobów stoisz — więc szukasz napisów. Lecz tablice nagrobne patrzą na ciebie jak ociemniałe oczy; są ślady napisów, ale głoski złociste wydarła im świętokradzka ręka chciwości. —

To jest kaplica Sieniawskich. —

Wychodzisz, i wchodząc pod odarte i zbrukane pilastry (na wzór krakowskich w królewskim zamku) idziesz po wschodach do owych komnat złotych i obrazami okrytych. Tu zastajesz pustkowie, a w miejscu skrzydła wspaniałej hetmanów rezydencyi, stoi gmach trzypiątrowy, koszarowym stylem stawiany, i co tam jest? — niepytaj. — Wtem uderzają cię dźwięki dziwnej muzyki, światło pochodni i jakiś gwar zagadkowy — to propinator, który tu mieszka wyprawia córce wesele. Już się nie pytasz gdzie są owe sale wielkie z obrazem bitwy Żórawieńskiej na suficie a obiciem z brokatu karmazynowego z żółtem, portretem Stefana Czarneckiego i supraportami; pokoje wiedeńskie, z obrazem batalii wiedeńskiej na suficie, takiemże obiciem i wizerunkiem św. Michała, królowej Jadwigi i cara Piotra Alexiewicza; pokój zwany simile o suficie w złociste ramy ujętym, z portretami Sieniawskiego hetmana poln. i jego małżonki, zielono-białym brokatem obity; sala wielka z konterfektami królów polskich 48, i czterma stołami marmurowemi; pokój jeden, drugi, trzeci i t. d. z portretami bohaterów Polski wszystkich z domem Sieniawskich pokrewnionych, okryte sztukatorską robotą i różnobarwnym obite brokatem; gdzie biblioteka w której między innemi znajdowały się skrzynie z papierami familijnemi i 34 sztuk dyplomatów tureckich w różnobarwną kitajkę obwiniętych, owe 10 sztuk drogich obić perskich, ów pokój drugi górny, zawierający 50 obrazów rozmaitych na suficie i ścianach i t. d. — Nie pytasz nareszcie gdzie zbrojownia, w której znajdowało się 157 dział większych i mniejszych, secinami flinty, karabiny, janczarki kosztowne, muszkiety, czeszynki, fuzye, pistolety, sztućce, tysiące kartaczów, granatów, kul żelaznych, grotów, bomby i inne wojskowe przybory. Zamiast tego wszystkiego i około 60 beczek prochu, co jeszcze w r. 1762 spisał p. Daszkiewicz w inwentarzu zamku Brzeżańskiego *) oddający go

*) Udzielonym mi uprzejmie w odpisie przez p. Stanisława Przyłęckiego.

z dyspozycyi JO. X. Imci p. Szymanowskiemu, porucznikowi — zamiast tego znajdziesz browar, beczki piwa i baryłki gorzałki. —

To zamek Sieniawskich. —

Nie znajdziesz też w farze ołtarza hebanowego z rozpostartemi koło niego sztandarami tatarskiemi z ponsowej materyi, z napisami tureckiemi w kwiaty srebrem tkane; nie znajdziesz za ołtarzem tablicy z białego marmuru z napisem rytym złotemi głoskami:

Tu leży Jakób co miał za herb Strzemię
Puślisko się urwało, a on hub o ziemię,

Jestto nagrobek, który konający od strzały pułkownik krwią swoją napisał był sobie grotem z rany wyrwanym.

Znajdziesz gruzy, groby i relikwie. Wszystko inne gdzieś zniknęło,

— wszystko, wszystko prócz tej ziemi,
— — — — — —
Snem ci się zdają te świetne Brzeżany.

K. Widman.

Zygmunta Krasińskiego dzieła pośmiertne.

Wyjątki z Listów. Tom 1. — Poemat niedokończony.

(*Dokończenie.*)

Nader ciekawą częścią listów są zdania o pierwszych znakomitościach literatury pięknej i dziełach ich.

Najpierwsze co nas uderza w tym zbiorze jest zdanie Z. K. o *Jean Paul'u Richterze*, tym poecie którego dzisiejsza pędem pary się rozwijająca literatura nieledwie do starożytności zalicza.

„Jestto pisarz, według jego zdania, o którego rodzaju ni Anglikom, ni Włochom, ni Francuzom się nie śniło. Jest w nim coś tak nadzwyczajnego, tak nadludzkiego iż zdaje się czasem że to był duch wtajemniczony we wszystkie niewidzialne dla nas szlaki państwa duchów.“

Pisząc do wydawcy (K. G.) o jego własnych utworach, pokrzepia go w zwątpieniu które tenże wyraża tak: *że nic nie zrobi nigdy ani myślą, ani czynem—chyba sercem!* „Czyżto taka mała i nędzna rzecz, szerokie, szlachetne, żyjące serce? ... Największe utwory poetyczne: Iliada, Nibelungi, Ossianowe pieśni, i zgoła wszystkie pieśni ludu, tem żyją nieśmiertelnie, że są pełne czucia. *Szekspir* niema serca *Goethe* również — zato też ich dzieła tylko są piękne — oni sami niczem! Chwały im nie zazdroszczę ... Szekspir choć szeroki jak łuna północna — mojem zdaniem niższy od *Bajrona*, który tylko mignął, jak znikoma błyskawica wśród burzy“. — Z powodu wiedeńskiego *Burg-Theater*, któremu przyznaje że ma najlepszych aktorów na całą Europę wywiera znowu swój wstręt do *Szekspira* równając go z *Szylerem*. Tu oddaje palmę Szylerowi, i odkrywamy tu główną przyczynę tego wstrętu: *»młodość bez granic hurmem ciśnie się zewsząd»* (w dziełach Szylera) — *półboga w nim widzisz i słyszysz zawsze»*. Szekspirowi zarzuca *rozwagę*, w Szylerze wielbi *uczucie*; w tamtym widzi tylko prawdę ludzką, światową, w tym *»wiarę w coś wyższego . . . palec boży»*. Przyznaje to że *»na kanapie będę ci czytał Szekspira dzień cały»* — Szylera woli na scenie. *Henryka Heinego* nazywa wyrazem „zgrzybiałej filozofii wpadającej nazad w dzieciństwo, wracającej do materyalizmu i lekkomyślności“. Stosuje do niego słowa Dantego: *guarda e passa*. W ogóle nie pojmuje Z. K. bolu serca wywierającego się w rozdzierającej je ironii — ironia jest mu zgrozą. —

A przecież ceni wysoko *Słowackiego*, któremu nie można odmówić pewnego pokrewieństwa z Heinem, chociaż Słowacki wyższy jest szczerą miłością ideału, która mu nie dozwala być tak piekielnie złośliwym jak Heine. *Anhellego* rozbiera dość szczegółowo, w końcu mówi: *»Nie znam nic smętniejszego, nic poetyczniej pomyślanego i wykonanego.*

O *Balladynie* mówi: „Szekspir ją porodził w głowie Słowackiego . . . to znakomity poeta“. *Wacława* gani: „Nie jestto poemat raczej paszkwil. *W Szwajcaryi* oto poezya— i *Ojciec zadżumionych* także“.

W estetycznych zdaniach nie może się pogodzić z *»panem Adamem»* co do pomysłu jego o dramacie: „Pomysł Pana Adama o dramacie szczególny (pisze to w r. 1843.) Mogłoby to być rodzajem pewnym *wystawienia dramatycznego*, ale nigdy sztuki dramatycznej jedynym kształtem. Byłby to liryzm w dramacie subjektywny, lecz dramat wymaga objektywności“.

Wyśmiewa *»jakąś Bogunkę, poema niby wielko-poznańskie z szkoły słowiańskiej»* i bardzo trafne a dowcipne czyni spostrzeżenia o tem sileniu się na język jakiś niby starożytny, igraszkę filologiczną: „Osobliwie w artystycznem dziele miłym jest wyraz z odsyłaczem do dykcyonarza na końcu — zupełnie toż samo co dziura w moście . . . *Sententiam dixi!* a że poznańczycy *cerevisiam* piją, to niezawodnie znać w *Bogunce*“.

Z polskich poetów zwraca jeszcze w tych listach uwagę na *Deotymę* (w r. 1853). „Zdarzyła się tutaj dziwna istota. Szesnastoletnia córka Pani ***. która wciąż od jakiegoś czasu, przed zgromadzonymi licznie gośćmi u matki, improwizuje. Wiele jej kawałków już widziałem. Wątpię, by to była istotna improwizacya, bo każdy kawałek nosi cechę *najwyższej sztuki i najdziwniejszego spokoju ducha*. Żeńskości nic — zapału i podrywu nic — młodzieńczości żadnej. Ale mowa najpiękniejsza, jasność najprzejrzystsza, wiersz najnaturalniejszy, rym najniewymuszeńszy... i t. d.“ Dwa listy są zapełnione Deotymą, zrobiła na nim wielkie wrażenie. W jednem miejscu mówi o niej *»portentum est»*. Wyraża podziwienie nad nią, zarzuca brak zupełny uczucia „myśl nie wie z razu, czy ma czcić, czy lękać się....“

Krytyka jest najsłabszą stroną *Z. Krasińskiego*. Poeta umie się tylko unosić, zimnego sądu on nie wyda, lecz dla krytyka z zawodu jest zdanie poetów o poetach niezmiernie wielkiej wagi. Każdy bowiem poeta sądzi o drugim ze współczuciem twórcy i w ślad za tym którego osądza idzie nietyle rozsądkiem co sercem i wyobraźnią, promienie światła skupione w jednym poecie przeszedłszy przez pryzmat poetycznego widzenia w drugim, rozpraszają się i dają obraz tego samego dzieła w innem ubarwieniu: to jest dla krytyka wielce nauczającem urozmaiceniem jednej a tej samej rzeczy. —

W ogóle listy *Z. Krasińskiego* będą stanowiły, jak słusznie wydawca o nich mówi, jedyne w swoim rodzaju dzieło w literaturze naszej. Pewni jesteśmy że staną się kiedyś niezbędną książką w bibliotece każdego światlejszego Polaka. Dodajemy tu życzenie bibliograficzne, by do listów

dodany był *spis abecadłowy* autorów i przedmiotów najważniejszych o których one traktują. —

Drugiem z dzieł pośmiertnych poety-filozofa, bo tem jest Z. K. w ostatnich utworach swoich, jest: *Poemat niedokończony.* Czy tytuł nadali wydawcy czy autor, to obojętna. Jest on trafny nie dla tego iż dzieło niedokończone, tylko że przedmiotem jest rzecz która się nigdy nie kończy: dzieje rodu ludzkiego i rola w tych dziejach narodu, którego dziejów za skończone żaden ziomek uważać nie może. Naród jest nieśmiertelny jak człowiek, jak ród ludzki, byt jego nieskończony nigdy, jak byt wszystkiego co z Boga początek swój wzięło, tem bardziej narodu którego posłannictwo zapisane w przyszłości. Ta jest myśl przewodnicząca utworowi całemu. — Zresztą jestto poemat-niepoemat. Co do formy nie da się ująć w żadne reguły poetyki, co do stylu wyrósł nad wszelkie prawidła, rozsadził je i rzucił krytyce w oczy czerepy form dawnych. Epopeja, dramat, hymn, jest wszystko i wszystkiego nie masz. Rytm jest a wiersza nie masz — jestto proza natchniona, dlatego rytmiczna, a choć nie wszędzie jest rytm słów, to jest myśli rytm pewny, jak w kompozycyach muzycznych wielkich: gdy ci się zdaje że twórca odbiegł od tematu niepowrotnie, wraca on nagle zwrotem niespodzianym do niej i łączy rozpierzchnięte na pozór tony w jedną wielką całość. *Poemat* dzieli się na pięć części, niby akta: *Wstęp*, *Sen*, dwie bez tytułu i *Podziemia Weneckie* w dwóch scenach. Dwie tylko osoby przechodzą przez cały poemat: są to dzieje *młodzieńca-poety* którego *Aligier* (duch Dantego) prowadzi przez bramę snów, piekło, czyściec i ziemię — nieba nie masz. W tem że nieba nie znalazł poeta jest cała jego tragiczność, bo on go szuka: kto nieba szuka a wszystko inne znajduje ten jest istotnie tragicznym bohaterem.

Wstęp jest rodzajem expozycyi. Dowiadujemy się że Aligier zjawił się jako wyższa istota młodzieńcowi w chwili, kiedy go młodzież szkolna znieważyła zato że był *paniczem.* Jestto upoetyzowana chwila z własnego życia autora. Aligier staje się odtąd przewodnikiem młodzieńca jak Wirgili był przewodnikiem Aligiera. Pan powierzył mu duszę młodzieńca, i on prosi za nim: „wysłuchaj o niej świadectwa mego. Ona bezustannie, sama o tem niewiedząc, ku niebu Twemu się wydziera.“ Prosi więc by mu nie ujmował Pan trudów życia, by go chłostał gradem boleści „jedno uskąp mu hańby *podłości*, jedno zbaw go od wiecznej nocy Ducha!“ A na to prosi, by mu wolno było ostrzedz go, by go noc dzisiejsza usłuchała na zaklęcie Imieniem Pana by mu zesłała mgły dolin i potoków pary, a on z nich „stworzy wiotkie postacie, natchnie je myślą Snu, który jutrzejszej nie dożyje Zorzy“. Po tej modlitwie prowadzi go do kaplicy gdzie już młodzieńca wzrok się mąci, bo już się zaczął boski czar Aligierego. Młodzieniec usypia i zaczyna się *Sen* (część druga poematu). —

Część ta była już dawniej drukowana. Jestto pieśń (prozą pisana) najbardziej zbliżona do *komedyi boskiej* Dantego, jest jej naśladowaniem, przeniesieniem dantowskiego piekła w nasz wiek, co autor otwarcie wyznaje kładąc w usta Dantego słowa: „kędy wiekuista Miłość i Rozum i Wola, ztamtąd mię posłano; bym ci pokazał piekło dni teraźniejszych“.

Trzecia i czwarta część nie godzi się z całością poematu — jestto miłość młodzieńca, miłość ziemska powzięta za pierwszem ujrzeniem księżny włoskiej w której poznał Polkę. Związek tych dwóch części z całym poematem zależy tylko na tem, że jestto ta sama niewiasta którą widział w śnie w piekle niewiast . . . Przypomina to wielce *Fausta*, ową Gretchen ukazaną w źwierciedle i zejście się z nią potem w rzeczywistości. Ale miłość młodzieńca kończy się na tęsknocie. Aligier nie jest Mefistofelem, nie kusi lecz owszem odwodzi go od niej.

Między *Snem* a *Podziemiami* (drugą a piątą częścią) stanowią te dwie jakoby intermezzo osobne nienależne do głównej całości, tyczą się one wyłącznie osoby Młodzieńca, gdy tamte dwie odnoszą się do dziejów całego rodu ludzkiega: Sen do *obecności*, Podziemia do przeszłości i przyszłości. Są w tem intermezzo obrazy życia powszedniego, nawet wzniosło-komiczne jak *Bankier-Książe* w III części i ruch karnawału weneckiego.

Podziemia weneckie dzielą się na dwie sceny, z których każda za siebie jest całym poematem. Aligier wprowadza Henryka (tak nazywa młodzieńca) „w świat ludzkości, w świat wspomnień i przeczuciów“.

Ta część poematu jest przeważnie filozoficzna.

Filozofia społeczna, której wykładem więcej umiejętnym niż poetycznym jest dzieło: *Ojcze Nasz*, jest tu wyłożona bardziej poetycznie niż umiejętnie. Zasady tam orzeczone wyobrażają się tu w postaciach. Nie są to alegorye lecz osoby dziejowe.

Poeta rozwija tu fantazmagoryę dziejową. Obraz za obrazem powstaje i wystawia nam kolejno kolebki starożytnych narodów: Babilon, Egipt, Grecyą, kolebkę Chrześcijaństwa, dalej wieki średnie aż do naszych czasów. —

Część opisowa jest włożona w usta młodzieńca, który zapytuje, i Aligierego który jako przewodnik objaśnia mu wszystko, zamiast, jak zwykle w nowszych dramatach bywa, wpisywać wszystko w nawiasach między dyalogiem. Chóry kapłanów występujące kolejno: Chaldejczyków, egipskich kapłanów, chór Eleuzyjski, nareszcie chór Essenczyków (pierwszych zakonników Karmelu) wypowiadają główne myśli i dążenia peryodów dziejowych, których są wyobrazicielami. W tych chórach starożytności jest wielka harmonia myśli. Każdy z nich odsłania zasadę swojej religii i swoje nadzieje zbawienia, i każdy z nich ginie bolejąc nad niespełnieniem się nadziei. Osobników (by użyć wyrażenia Z. K.) niemasz w tej części sceny pierwszej prócz w chórze Eleuzyjskim, do którego przemawia Hierofant i Platon „boski, wyniosły podobny nieco do Chrystusa.“ Po przebrzmieniu każdego z tych chórów odzywa się *»Chór daleki»* słowami pocieszenia i przepowiedni. Chór ten łączy wszystkie przemijające obrazy w jedną całość. Gdy przebrzmiał Chór Esseńczyków który się kończy słowami: „Chrystus twój niech zstąpi!“ zaczyna się peryod Chrześcijaństwa.

Odtąd wstępuje na scenę *»Chór nadpowietrznych głosów»*, który swoją pieśń kończy słowami: Hozanna! Ho-

zanna! Ten odzywa się odtąd po przejściu każdego obrazu na przemian z „chórem dalekim".

„Chór nadpowietrznych głosów" jest chórem chrześcijańskich duchów, „chór daleki" zaś to głos Opatrzności towarzyszący całemu dramatowi dziejów człowieczeństwa.

„Chór nadpowietrznych głosów" wypowiada między innemi zasadniczą prawdę Chrześcijaństwa, której niepierwszy Z. K. dopatrzył w Chrześcijaństwie: „Odtąd żaden lud co stał się narodem nie umiera na ziemi!" Chrześcijaństwo zwycięża.

Śmiało i z ogniem wystawia Z. K. dalej pełną mąk jęków i krwi walkę kościoła w sobie, tragedye Albigensów, Templaryuszów, nareszcie niekrwawe zejście Bożokrzyżowców, którzy zapytują „komu oddać puhar złoty?" i otrzymują odpowiedź: „W ręce braci *Mularzy* oddajcie go!"

Odtąd przechodzi walka społeczna kościoła na pole narodów.

„Chór daleki," ten głos wszechdziejowej opatrzności spiewa: Patrzcie i zważajcie! — Od krzyża na którym skonał Pan, piekielniejszej zbrodni i rzewniejszej męki nie było na płanecie tym! Tam Boga zamordowano w człowieku — tu ludzkość! Ale ufajcie. „Młodzieniec woła: — Na Boga! na Boga! . . . czyjżeto pogrzeb? Czy wszystkich na świecie tym? Aligier odpowiada: „Zaprawdę, że człowieczeństwa".

Tu następują obrazy pełne boleści i nadziei, występują obok chorow dobrych chóry złe: trzech karłów, podziemnych głosów, cała walka nowego ducha wolności i równości uosobionej w chórach Mularzy, odrodzonych (illuminatów) i wybranych, którzy przez nienawiść, strach i krew chcą odrodzić społeczność – Bezwzględne potępienie rewolucyi równie jak despotyzmu, a jednak apoteoza Napoleona jest cechą tej części pierwszej sceny — końcem przeszłości jest przymierze karłów by pracować nad zabijaniem ludzkości nie jawnym gwałtem ale skrytym a wiecznym, pod pokostem świętości. —

W drugiej scenie otwierają się podwoje przyszłości. Chóry wszystkich narodów i walka Pankracego (znanego z nieboskiej komedyi), wyobraziciela demokracyi przeciwnej szlachcie z *Prezesem* wyobrazicielem chrześciańskiej miłości, łączącej wszystkie narody.

Ta ostatnia część poematu jest już raczej publicystycznym traktatem ułożonym dramatycznie, mającym w niektórych ustępach przez piękność wymowy i wzniosłość pomysłów podobieństwo do filozoficznych dyalogów Platona. Akcya jej dramatyczna zależy na szermiestwie zdań politycznych i społecznych i na wyroku przeciwko Pankracemu, którego Prezes ogłasza za umarłego.

Jakoby umarłemu stawiają trumnę i spiewają pieśni pogrzebne, co ma wyrażać wykluczenie go z „towarzystwa żywych duchów". Część tę uważamy za najsłabszą pod względem artystycznym. Gdy pierwsza scena *Podziemiów* jeszcze wre życiem, gorącem uczuciem i lśni barwami, znać na tej ostatniej, by mówić z Hamletem, chorowitość bladej teoryi. We wszystkich zwrotach które nietykają zdań politycznych, ale strony czysto narodowej, panuje ten niebiański ogień co ożywia wszystkie pisma Krasińskiego.

K.

TEATR.

Na benefis p. Ignacego Kalicińskiego dany był 7. Marca dramat Holteja przełożony z niemieckiego przez p. Mieczysława Chrzanowskiego, pod tytułem: drzewo laurowe i kij żebraczy. Niemając zamiaru wchodzić w architektonikę dramatu tego, należącego do literatury obcej, chcemy tylko zwrócić uwagę na to czegoby należało unikać w literaturze naszej. Dramat ten, lubo nie bez tak zwanych scen efektowych, nie sprawił jednak wrażenia głębszego, i jeźli dały się słyszeć oklaski, oddane były raczej artyście p. Kalicińskiemu, niżeli autorowi.

Otóż chcemy powiedzieć, czem się dzieje że wrażenia głębszego nie było — tém że w założeniu dramatu brak prawdy. Bohater-poeta tego rodzaju, jakim jest Henryk, nie jest bohaterem dla sztuki równie jak dla życia powszedniego. Jest on wciąż pod fatalnym wpływem fantazyi i gorącego uczucia, wciąż patrzy na świat przez swoje szkiełko, bez chwili trzeźwej, bez zimnego ocenienia stosunków swoich ze światem. Gdyby ten wpływ usposobienia, ta wyobraźnia żywa i to uczucie gorące wtedy opanowało całą istotę, kiedy namiętność jakaś ogarnęła życie; wtedy zapewnie poeta głębiej i żywiej uczuje, a fantazya innem mu światłem świat dokoła oświetli, jak drugim. Tak pojmował Gete Tassa, którego miłość dla księżniczki wyrzuciła z kolei zwyczajnej życia; świat i jego uprawnienia zastąpiły drogę sercu, i napełniły je bolem — a widzów współczuciem. Dla czego? Bo ból poety jest bolem ludzkim — ciosem, który każdego trafić może — *nihil humani a me alienum puto*. Przeciwnie bohater dramatu przedstawionego jest, jak to mówią, z domu i z rodu naturą chorobliwą; on ma tylko oko fantazyi i serca, i nie może być innym, jak jest. Jestto więc indywidualność tylko, a nie charakter. Charakter ma za podstawę wolną i silną wolę; w tem jest jego wartość i zasługa. Sama indywidualność jest rzeczą daną, i za nią nikt nie odpowiada, nikt też jej na karb wartości osobistej lub uszczerbku nie kładzie. Prawdziwą postacią bohatera w sztuce jest charakter razem z indywidualnością złączony: pierwszy czyni postać tem, czem być winna; druga strzeże ją, aby nie była ogólnikiem. Owóż więc boleśne ciosy, które trafiają takiego niby bohatera, stojącego na samej tylko indywidualności, nie niosą z sobą owej bezświadomej obawy losu wspólnego wszystkim, nie wywołują wyższego interesu. Jest on w oczach innych ludzi anomalią, na którą patrzą jak na wszystkie żyjące anomalie tego świata; wprawdzie z litością jak na kalectwo, ale bez wyższego interesu estetycznego, opartego w tym razie na wspólności dziejów ludzkich. Podobne mylne pojmowanie poety-bohatera znajdujemy także w pięknie zresztą napisanej „powieści bez tytułu" Kraszewskiego, gdzie poeta rzucony w świat, jak odlew gipsowy prędzej skruszyć się może, niż nagiąć do potrzeb i obowiązków wynikłych ze stosunku ze światem. Niepraktyczność jego, pochodząca z braku charakteru, sieje wszędzie klęski, sobie i drugim, i stawia jedno z pięknych powołań na tej ziemi w rzędzie nieszczęść i ciężarów społeczeństwa. Inni dalej jeszcze rozszerzają pojęcie bohatera-poety, kładąc na

rachunek fantazyi i gorącego uczucia wiele zdrożności, które potępia rozum i sumienie, a od których odwraca się ze wstrętem serce czyste. Spostrzegamy, że taki typ poety-bohatera zaczyna w nowych utworach ustalać się; co jest najprzód pod względem sztuki chybionym pomysłem, bo bohater bez charakteru jest tem samem co koło kwadratowe; powtóre nie przeczymy, że mogą być, i są natury tego rodzaju, ale czyż każda indywidualność niezwykła może stanąć na wyżynach bohaterskich? Czy niema warunków, tak w życiu jak w sztuce, które uprawniają stanąć na tych wyżynach? Twierdzimy, że ani Chaterton, ani Stanisław Szarski, ani Henryk wyżej wspomnionego dramatu, nie mają tego uprawnienia; nie są typami ogólnemi, jakiemi być chcą, chyba z uchybieniem sztuce, i z pokrzywdzeniem wielu żywych i umarłych.

Na scenie artyści wykonali wszystko co było dramatu tego zadaniem; szczególnie zaś pp. Kaliciński i Nowakowski (syn) podnieśli grą swoją dramat i dodali tej prawdy w pojedyńczych chwilach, której brak czuć się daje w całej osnowie. Niemożemy tu jednak pominąć gry p. Kaczkowskiej, i zwracamy jej uwagę na niektóre rażące chwile w jej roli. Wprawdzie i tu główna wina autora; bo czy podobna, aby osoba dobrego wychowania, dziewczyna kilkunastoletnia poczytała za dobre i dowcipne, drwić z człowieka pięćdziesiątletniego, bo ma lat pięćdziesiąt? niezamierzającego bynajmniej być jej konkurentem, a chcącego być dobrodziejem jej brata? Tę niedorzeczność autorską podniosła jeszcze p. Kaczkowska jakimś tonem mowy pospolitym, który mógł dogodzić autorowi, ale nie dogodził sztuce. Lepiej było ów żart trywialny opuścić w roli, niż go tak uwydatnić tonem mowy i manierą, w której *Henryka* ani dobrego wychowania ani naiwnej wesołości młodego wieku okazać nie mogła. Mimo talentu niezaprzeczonego widać w grze p. Kaczkowskiej brak ruchów salonowych, czyli raczej uszlachetnionych ciągłą świadomością tego, co jest pięknem w postaci, którą przedstawia. Ich najbliższe znamiona są; giest krótki, lekki, zaokrąglony; ożywiony, lecz nienamiętny; połączony z tonem mowy pogodnym i wdzięcznym — równie dalekim od afektacyi, jak od pewnej wrzaskliwej intonacyi. Jest ważnem zadaniem dla młodej artystki przyswoić sobie zewnętrzną indywidualność wdzięczną a przecież daleką od kokieteryi— lecz tego uczy własne wprawne oko, i pewien instynkt estetyczny, wiedziony zawsze ukształceniem duszy.

S. Pilat.

Kronika literacka.

kw. Pan Karol Forster znany w świecie literackim Francyi z dzieł: *Quinze ans à Paris i Du Royaume à l'Empire* rozpoczął swój zawód w polskiej literaturze dziełkiem pod napisem: Rzut oka na ostatnie pisma polityczno-filozoficzne p. Guizota. Dziełko to stanowi pierwszy tom Zbioru dzieł użytecznych z różnych języków zebranych lub oryginalnych. Drugim tego zbioru tomem jest przekład dzieła A. Thiersa: O własności z przedmową K. Forstera. Pożądane to i pierwsze w swoim rodzaju wydawnictwo polskie obejmować będzie według zamysłu p. K. Forstera szereg dzieł z nauk społecznych. Obecnie wyszedł Przewodnik moralności i ekonomii politycznej dla użytku klass roboczych ułożony podług dzieła francuzkiego p. Rapet, które otrzymało nagrodę Akademii nauk politycznych i moralnych. Pan Forster zamierzył, wsparty pomocą kilku patryotów ogłaszać to dzieło tak, ażeby mogło być rozdawane bezpłatnie między klasy robocze. Nowy ten sposób ogłaszania dzieł pożytecznych, godzien najżywszego współczucia między rodakami, pozyskał u nas silne poparcie przez pośrednictwo Towarzystwa gospodarskiego Lwowskiego.

— Profesorowie Polacy przy uniwersytecie petersburskim: Z porządku lekcyj w petersburskim uniwersytecie na rok 1860 ogłoszonego dowiadujemy że wielu Polaków piastuje tam urzędy profesorów. — Profesor Stawrowski wykłada dzieje średnich wieków. Profesor Jarocki literaturę sławiańską; adjunkt Halkiewicz język grecki, Adjunkt Ciechanowiecki ekonomię polityczną; Lektor Sypniewski język i literaturę angielską; Profesor Szydłowski astronomię, geodezyę i dynamikę; profesor Chodecki rolnictwo i leśnictwo; profesor Rogowicz botanikę i anatomię roślin; Romer analizę algebraiczną; Niezabitowski prawodawstwo skarbowe i mennicze; adjunkt Gorecki terapię szczeg.; prorektor Kopernicki praktyczną anatomię; pomocnik dyrektora kliniki terapeutycznej Krzyżanowski kieruje ćwiczeniami klinicznemi; nareszcie nauczycielem jeżdżenia na koniu jest polak Olszański. Nie liczyliśmy tu trzech, o których nie wiemy z pewnością czy są polakami: Gogockiego, profesora pedagogii; Krauzego, profesora niemieckiego języka i literatury i Łazarewicza, docenta akuszeryi. — Okazuje się z tego, że między 51 profesorami uniwersytetu jest 13 albo 16 Polaków, to jest więcej niż czwarta część; dwadzieścia znajdujemy tam nazwisk rossyjskich, resztę niemieckich, francuzkich i włoskich.

— Józef Supiński drukuje dzieło treści ekonomiczno-politycznej pod tytułem: Myśl ogólna fizyologii powszechnej. Autor powiada w przypisku do przedmowy, że rękopism tego dziełka posłał był przed pięciu laty do Paryża panu Ludwikowi Wołowskiemu do przejrzenia. Dotychczas nieuiścił się szanowny członek Instytutu z danej autorowi obietnicy. Gdyby więc dziwnym jakim przypadkiem teorya w powyższym dziełku rozwinięta pojawiła się w innem jakiem bądź polskiem, bądź francuzkiem dziele — autor porucza naówczas własność swoją opiece polskich literatów.

— Antoniego Małeckiego „List żelazny" będzie w tych dniach przedstawiony na teatrze warszawskim.

W tym miesiącu dany będzie: Wiesław, podług sielanki Brodzińskiego na tutejszej scenie na dochód panny Wygrzywalskiej. Ułożył go na scenę p. J. Ściborski z śpiewkami

Sprostowanie: W wyliczaniu dzieł Karola Sienkiewicza zaszła pomyłka przy odpisywaniu. Tłumaczem Pani jeziora jest sam Karol Sienkiewicz, nie zaś jego brat.

Różności.

Pan Jan Kanty Gregorowicz i Henryk Dębski urządzili w Warszawie kantor interesów ziemiańskich. Kantor zajmuje się: 1. Urządzeniem gospodarstw i zaprowadzeniem płodozmianów. 2. Sprowadzaniem nasion wszelkich, roślin pastewnych, drzewek, krzewów i kwiatów. 3. Ułatwieniem nabywania machin i narzędzi rolniczych. 4. Urządzeniem lasów. 5. Zaprowadzeniem nowych fabryk krochmaliku, octu, gorzelni, browarów, smolarni, cegielni, wapiarni i t. p. z przedstawieniem planów na takowe. 6. Stręczeniem oficyalistów prywatnych. 7. Pośredniczeniem w kupnie i przedaży dóbr i wydzierżawieniem takowych. 8. Pośredniczeniem w interesach sądowych i administracyjnych. 9. Załatwienie wszelkich zleceń, począwszy od najdrobniejszego kupna tyczącego się gospodarstwa domowego lub przemysłu wiejskiego aż do rzeczy większej wartości.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z prasy pospiesznej E. Winiarza.